Nr. 224. Lwów — Sobota dnia 28 Września. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 3 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 6 ct.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Wacława | Josafata
Jutro: F. 17 po Ś. Michała | N. 17 po Sosz.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 6 m. 1
Zachód „ „ 5 „ 39

Długość dnia g. 11 m. 38
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przypominamy, że
prenumerata może datować tylko od 1-go lub od 15-go w miesiącu i że prenumeraty datowanej od innych dni nie przyjmujemy wcale;

Przypominamy, że
każda zmiana adresu kosztuje 20 centów i że kto tej opłaty nie uiści, ten nie ma prawa żądać zmiany adresu;

Przypominamy, że
już pora odnawiać kwartalną prenumeratę, która wynosi na prowincyi 3 zł. 30 centów: więc kto przyszle tylko 3 złr. tego wpiszemy jedynie na 2½ miesiące.

Dzienniki rosyjskie o Badenim

Rosyjskie dzienniki wróciły po tygodniowem milczeniu znowu do mocno dla nich nieprzyjemnej sprawy objęcia steru rządów w Austryi przez Polaka. Tym razem rozpoczęły ogień baterye *Nowego Wremienia* i *Sankt Pietiersburskich Wiedomosti*. Owoż oba te dzienniki przewidują, że Badeni utrzyma się niedługo u steru. I z tą zupełną nieznajomością stosunków austryackich, jaka najczęściej cechuje dzienniki rosyjskie, pisze *Now Wremia*, że przez powołanie hr. Badeniego „Cesarz Franciszek Józef wrócił znowu do ulubionego systemu rządów, które reprezentował hr. Taaffe, a chociaż nie twierdzimy zgoła, że hr. Badeni usprawiedliwi nadzieje, pokładane w nim przez Cesarza, to zawsze musimy zaznaczyć, że stanięcie nowego gabinetu u władzy będzie ostatnim ciosem, zadanym nadziejom i widokom liberałów niemieckich.“

W innym artykule *Now. Wremia* polemizuje z *Krajem*, który notując fakt, że dwa najwyższe stanowiska zajmą w Wiedniu Polacy, dodaje, że „Polacy przestali już być tym palnym materyałem, który ujawniał się we wszystkich europejskich ruchach rewolucyjnych i zajęli się poważną pracą nad przymnożeniem wszelkiego dobra krajowi rodzinnemu.“

Now. Wremia odpowiada na to w te słowa: „Jesteśmy zdania, że hrabiowie Gołuchowski i Badeni winni jeszcze wykazać czynami swe uzdolnienie i zalety, zanim zagranica przejmie się nauką, jakiej j j udziela Wiedeń. W przeszłości obu tych polsko-austryackich działaczy nie ma żadnych danych, świadczących o tem, że mają koniecznie stworzyć nową erę w dyplomacyi i życiu wewnętrznem Austryi. Opinia publiczna wymaga tam demokratycznej ustawy wyborczej, która to sprawa obaliła już dwa gabinety, zaś hr. Badeni występował dotąd jako stronnik arystokratycznego systemu rządzenia. Cóż pozostawia po sobie w Galicyi? Oto w polskiej gazecie tamecznej — polskiej, nie zaś ruskiej — czytamy: „Jeśli Polska ma być taką, jaką była albo jest teraz w Galicyi, przy hajdamacko-stańczykowskim systemie rządzenia, to niech lepiej wcale nie istnieje. W takiej Polsce lud ma tylko nędzę i poniewierkę. Taka Polska, to tylko raj dla garstki wybranych.“

„Czy nie lepiej — kończy *Now. Wremia* — zaczekać na to, czem będzie hr. Badeni w Wiedniu, zanim pozbędziemy się dawnych uprzedzeń w sprawie powierzania w ręce Polaków losów państw, które brały udział w rozbiorach Polski?“

Owóż koniec ten nie zgadza się z zacytowanym przez *Now. Wremia* ustępem z jakiejś wychodzącej w Galicyi polskiej gazety i z całą polityką, jaką *Now. Wremia* prowadzi względem Polaków i kwestyi polskiej. Bo jeżeli hr. Badeni tak dotąd rządził w Galicyi, iż cały lud z wyjątkiem garstki wybranych pragnie, aby wcale Polska nigdy nie była, skoro miałaby być podobną do teraźniejszejszej Galicyi, natenczas *Now. Wremia* i rząd rosyjski, nie mają co czekać, ale powinni natychmiast pozbyć się dawnych uprzedzeń i starać się o zaprowadzenie w Warszawie rządów identycznie takich, jakiemi są Badeniego w Galicyi. Bo czyż może być dla Rosyi coś pożyteczniejszego, jak doprowadzić do tego, żeby Polacy sami dobrowolnie nie chcieli odbudowania Polski? Albo znowu *Now. Wremia* nie wierzy w cytat owej polskiej gazety galicyjskiej i mając od dawna samą tylko nienawiść do Polaków, woli zachować swe dawne uprzedzenia, niż bezstronnie i z zajęciem patrzeć na przykład dawany przez Wiedeń.

A przecież rozum stanu nakazuje przedewszystkiem nie powodować się w polityce ani uprzedzeniami, ani nienawiścią.

Po demonstracyach rzymskich.

Na pochwałę uroczystości jubileuszowych nawet liberalna prasa włoska umie przytoczyć tylko jeden argument: że materyalny porządek publiczny nie został zakłócony. Zdaje się więc, że nawet w tym względzie zachodziły pewne obawy. Zresztą zaś wszystkie poważniejsze organa nawet obozu liberalnego wygłaszają różne zastrzeżenia. Tak np. *Stampa* jako ujemne rezultaty obchodu wylicza, że 1) mowa Crispiego przy odsłonięciu pomnika Garibaldego odświeżyła walkę pomiędzy Włochami a Stolicą Apostolską; 2) duch antikościelny tych demonstracyi sprawił, że ambasady wielkich mocarstw, wyjąwszy angielską, wyraźnie zaznaczyły swą abstynencyę; 3) manifestacye irredentystów przeciwko niektórym mocarstwom utrudniły stosunki dyplomatyczne; 4) rodzina królewska została urażona przesadnemi pochwałami Garibaldego i Mazziniego; 5) wojsko zostało obrażone rozporządzeniem burmistrza, aby pierwsze miejsce w pochodzie do „Porta pia“ zajęły chorągwie lóż wolnomularskich.

Zwłaszcza zniewaga, wyrządzona wojsku, we wszystkich kołach, które nie pozostają bezpośrednio pod wpływem masoneryi, wywołała silne oburzenie. Cały szereg dzienników poważniejszych dobitnie potępił to dziwne ustępstwo ks. Ruspolego dla wolnomularzy. Tak *Gazetta di Parma* zauważa: „Z tej otwartej walki minister wojny wyszedł pobity. Władza tajna zażądała dla swych reprezentantów pierwszego miejsca, a poczciwy książę-burmistrz Rzymu przechylił się na stronę władzy tajnej, ponieważ czuł, że ona jest silniejszą. Gdy zaś minister wojny odwołał się do króla, ten także nie zdołał obronić pierwszeństwa chorągwi narodowej i wojskowej, lecz tylko usunął zatarg za pomocą fortelu i eskamotażu, — jednego z tych półśrodków, które nietylko — jak powiada *Italia militare* — wydają się najgorszemi, lecz są niemi. Trzeba sumiennie rozważyć ten wypadek, który najdobitniej wyjaśnia rzeczywiste położenie Włoch. W 25 lat po wkroczeniu wojsk włoskich do Rzymu, dowiadujemy się z przykrością, że tutaj nad Rzymem i Włochami nie panuje król, ani konstytucyjny rząd, lecz tajna sekta, że chorągiew trójbarwna z krzyżem sabaudzkim nie jest prawdziwym sztandarem narodowym, lecz nim jest chorągiew zielona z trójkątem, że weterani wojen o niepodległość muszą ustąpić pierwszeństwa wyrzutkom obcych galer. Smutno to skonstatować“.

Z tego samego powodu zauważa *Gazetta di Venezia*: „Było to równocześnie obrazą wojska i króla, który jest jego naczelnym reprezentantem. Wypadek ten odsłania otchłań pomiędzy rządem, który się poddał tajnej władzy wolnomularskiej, a wojskiem, które na przyszłość nie będzie wiedziało, czy walczy za ojczyznę i króla, czy też za stowarzyszenie tajne, które staje od nich wyżej i narzuca się wszystkim.“

Wymieniony powyżej półśrodek, którym nibyto rozwiązano trudność, zasadzał się na tem, że delegacye wojskowe ze swemi chorągwiami nie postępował na czele orszaku, lecz udały się następnie na miejsce uroczystości, zaś na czele orszaku, złożonego z wszystkich innych deputacyi, kroczyły istotnie loże wolnomularskie ze swymi sztandarami. Tym sposobem masonerya zapewniła sobie najwybitniejsze miejsce, które jej zresztą tam należało, bo ona najsystematycznej walczyła przeciwko Kościołowi i swemi tajnemi machinacyami przygotowała 20-ty września r. 1870. Nie można przeto dziwić się masonom, że reklamują „sławę“ owego świętokradzkiego czynu, dziwić się chyba można tym, którzy w dobrej wierze zawsze jeszcze negują wpływ i ambicyę wolnomularstwa, i dziwić się można dynastyi włoskiej, że cierpi obok siebie taką niebezpieczną także dla tronu władzę tajną.

Korespondencye.

Wiedeń, 24 września.

Co miesiąc skonstatować można wzrastające pogorszenie się bilansu handlowego monarchii austro-węgierskiej. Wrzesień, który zawsze przynosił wielkie ożywienie eksportu (gdyż pierwsze transporty zboża nowego szły już w tym czasie za granicę), w bieżącym roku zaznaczył się nowym upadkiem wywozu i nowym wzrostem importu. Przywieziono w tym miesiącu do Austro-Węgier towarów za 60,690.000 złr. (we wrześniu w r. 1894 za 53,970.000) wywieziono zaś za 60,730.000 złr. (w r. 1894 za 69,000.000 złr.). W roku ubiegłym wynosiła nadwyżka eksportu 15,030,000 złr., w roku bieżącym wszystkiego 40 tysięcy złr., to jest tyle, co nic. Jak się zdaje, nadzieje, które żywiono, że w drugiej połowie roku rozwinie się handel eksportowy, spełzną na niczem. Za ośm miesięcy eksport monarchii wykazuje cyfrę o blisko 26 milionów mniejszą (496,460.000 złr. w r. 1894; 470,020.000 w r. 1895) a import cyfrę o blisko 27 milionów większą (w r. 1894: 457,670.000; w r. 1895: 484,200.000). W roku ubiegłym, nie bardzo świetnym, owszem dość niepomyślnym w porównaniu z latami dawniejszemi, za ten sam okres czasu mieliśmy nadwyżkę eksportu 38,790 000; w roku zaś bieżącym mamy nadwyżkę importu 14,180.000 złr. Bilans pogorszył się więc o blisko 53 milionów (52,970.000 milionów złr.).

Nie możemy się już chyba spodziewać stanowczego polepszenia sytuacyi na targu światowym do końca roku bieżącego, zwłaszcza, że powody zmniejszonego eksportu nie zostały jeszcze usunięte. Zboża wywieziono w tym roku mniej za 7 milionów, cukru za 12,300.000 złr., bydła za 16 milionów, a owoców za 2,200.000 złr.; razem więc produktów rolniczych i rolniczo-przemysłowych wywieziono mniej za 37½ miliona, a że cukier w wyjątkowych był warunkach wywozu w roku bieżącym skutkiem hyperprodukcyi w całej Europie środkowej i Rosyi, przeto odjąwszy od tej sumy 37½ milionów ubytek wywozu cukru (12,300.000 złr.) dostaniemy dopiero prawdziwą cyfrę pogorszonego — i to jak się zdaje niestety stale pogorszonego wywozu. Cyfra ta wynosi 25,300.000 złr.

W tej sumie wyraża się cała nieudolność polityki handlowej, która nie potrafiła obronić interesów rolnictwa ani w obec Niemiec, ani w obec Rosyi, ani nawet w obec małych państewek na półwyspie Bałkańskim. Mówią i piszą wiele o tem, że Austro-Węgry przemieniają się na kraj przemysłowo-rolniczy, że konsumcya zboża w kraju wzrasta, to też eksport jego tem samem zmniejszać się musi. Ale przemiana ta dokonuje się za szybko! W roku 1891 wywóz zboża i mąki reprezentował wartość złr. 106,200.000, w r. 1892 82,800.000 zł., w r. 1893 wywieziono zboża samego jeszcze 8 i pół milionów centnarów, w r. 1894 już tylko 6 mil. 300 tysięcy centnarów mimo, że i dowóz zboża w tym roku i to samego jęczmienia i pszenicy (bez uwzględnienia owsa i kukurudzy razem dowiezionych w ilości o 2 i pół mil. centnar. większej), wzrósł o przeszło jeden milion centnarów. Taki wzrost konsumcyi jest chyba bajką. Poświęcono interesa rolników, a dla przemysłu niewiele zrobiono. Udało się zaledwie trochę żelaza w początku r. b. eksportować na Wschód i trochę przędziw. Wyjątkowo pomyślna sytuacya po wojnie chińsko-japońskiej posłużyła tym razem przemysłowi. Ale czy fabrykanci nasi zdobyli jakieś trwałe targi? Jednem słowem handel zagraniczny monarchii upada w sposób wprost przerażający. Handel ten opierał się głównie na wywozie zboża, a podcięcie tej gałęzi eksportu i słabe popieranie interesów tylko przemysłu prowadzić musi wieśniaka zarówno, jak kupca do ruiny. W Węgrzech kwestya podniesienia rolnictwa nie schodzi z porządku dziennego. Założono Bank rolniczy, ministerstwo wypracowało obszerny plan melioracyi, budowy kanałów wodnych, zakładania magazynów, ratowania handlu zbożowego polityką taryfową itd. W Austryi nikt się nawet nie pyta, czy istnieje jakaś kwestya rolnicza.

Są niestety ekonomiści, utrzymujący, że teorya o konieczności przewyżki eksportu nad importem jest przestarzała, i że wzrost importu nie powinien nikogo przestraszać, gdyż jest dowodem wzrastającej zamożności w kraju. Prawda, że importowano u nas, ale jaki import? Czy surowców do fabryk? Czy maszyn?

Między wszystkiemi pozycyami importu dwie chyba tj. żelaza, którego sprowadzono za 2,300.000 zł. więcej i węgla za 3,400.000 zł. więcej mogłyby mieć dodatnie znaczenie. Mogłyby, powtarzam, ale niestety nie mają, bo żelazo to i węgiel po większej części sprowadzono celem przeróbek na przypadkowo tylko ożywiony eksport na Wschód.

Natomiast fakt taki, że sprowadza się jedwabiu więcej za 1,300.000 zł., kolonialnych towarów więcej za 3,400.000 zł., dowodzi tylko rosnącego zbytku warstw zamożnych, a nie rosnącej konsumcyi ludu.

Generalny konsul Anglii Schoeller, w swym referacie przesłanym do Londynu doniósł, że „konsumcya ostryg, szampańskich win, kawioru, biżuteryi wzrosła w Austro-Węgrzech“ i z tego wywodzi, że zamożność u nas wzrasta. Ale to nie jest żaden dowód.

Mógł wzróść tylko — zbytek i to jest prawdą. Zawsze bowiem pauperyzm u dołu i zbytek u góry szły równolegle Dla Francyi, Anglii, Niemiec nadwyżka importu nic nie znaczy, bo te państwa mają zagranicą pretensye do ściągania i Rosya, Austro-Węgry, Włochy i Hiszpania, półwysep bałkański i daleki wschód a nawet Ameryka opłacać się im muszą. Austro-Węgry jednak należą do krajów zadłużonych i dlatego stosować do nich należy „starą ekonomię“, że kraj upada, jeśli import przeważa nad eksportem. Zresztą do tej starej ekonomii wraca system francuskiej polityki handlowej, wraca do niej dziś nawet Anglia i z tryumfem donoszą pisma angielskie, że eksport angielski od pewnego czasu nadzwyczaj wzrasta. Urósł on w pierwszych 8-miu miesiącach o przeszło 60 milionów zł. (5,430.000 funtów szterlingów), a import spadł o 1,039.000 funt. w tym samym czasie. Zawsze jeszcze nadwyżka importu jest tam olbrzymia (za 8 miesięcy: 85 milionów funtów) i tak być i zostać musi poniekąd w kraju żyjącym w części z pożyczek innym krajom udzielanych. Ale charakterystycznym rysem jest dążność Anglii do zwiększania swego eksportu, a zmniejszania importu.

A we Francyi? Import w pierwszych 8 miesiącach spadł (z 2658 milionów franków w r. 1894) na 2407 milionów franków, to jest o 251 milionów, a eksport podniósł się (z 1962 milionów w roku 1894) na 2142 milionów, tj. o 180 milionów. Bilans handlowy zatem poprawił się o 436 mil. fr. w 8 miesiącach!

Więc chyba Austro-Węgry są jakąś błogosławioną cichą wyspą na wzburzonem morzu, na której nie ma się czego obawiać, chociaż wszystko dokoła drży o swe życie. Hasło: „Nur gemütlich!“, którego zbyt wiernie u nas się trzymają, gotowo się zemścić na nas.

Ruch przedwyborczy.

Tarnów 26 września.

(Zgromadzenie przedwyborcze).

Dnia 23 bm. odbył się dalszy ciąg dyskusyi, rozpoczętej 22 bm (por. *Przegląd* z 25 bm.). P. Ważyński poruszył sprawę szkoły realnej w Tarnowie, żądał utworzenia dyrekcyi kolejowej w naszem mieście, zmiany ustawy drogowej itd., a wreszcie zapytał kandydatów, czy zgadzają się z obowiązującem obecnie postanowieniem, że prócz burmistrza muszą także wiceburmistrz i pierwszy asesor pobierać pensyę, której nie wolno im się zrzekać? — P. Stapf sądzi, że urzędy budowlane nie mogą sobie dać rady z regulacyą miast, i żąda ingerencyi Wydziału krajowego. — Ks. dr. Pechnik przyznaje p. Rutowskiemu wielkie zasługi, sądzi jednak, że szanowny poseł mógłby przecież coś „odwołać ze swej przeszłości politycznej“ czyli przyznać się do pewnych błędów. Zawiązanie koalicyi, (której p. Rutowski bronił z zapałem), mogło wydawać się z razu koniecznem i dla państwa zbawiennem; ale ostatecznie pokazało się, że lewica niemiecka „niczego się nie nauczyła i niczego nie zapomniała“; że nie chce być sprawiedliwą dla narodów słowiańskich ani pracować dla dobra całego państwa; dlatego też koalicya rozbiła się, nie spełniwszy zadań, dla których była stworzoną. Mimo tego twierdzi *Przełom*, do którego redaktorów należy p. Rutowski, że tej samej polityki musimy trzymać się i w przyszłości, podając jako jeden z powodów obawę, że przy innej kombinacyi stronnictw mógłby powstać zatarg z Węgrami. Otóż zdaniem interpelanta „nie ma powodu oszczędzać rządu węgierskiego“. Dalej twierdzi interpelant, że projekt reformy wyborczej, wymyślony przez p. Rutowskiego, trzeba uznać stanowczo za chybiony, a zwłaszcza myśl przeznaczenia jednego mandatu dla wszystkich robotników niepłacących żadnego podatku w całej Galicyi i Bukowinie; w takim razie każdy nowy wybór wywoływałby tylko nowe rozgoryczenie pomiędzy tą warstwą ludności i byłoby już lepiej nie dać im żadnego mandatu. Sejm nasz i Koło polskie powinnyby raczej żądać przywrócenia dawnego systemu delegacyi sejmowych; przy tym systemie nie dostawaliby się do Rady państwa krzykacze, jak Waszaty i inni młodoczesi, którzy tam tylko drogi czas zabierają.

Zarówno w Sejmie, jak i w Kole polskiem zajmowano się przeważnie tylko sprawami ekonomicznemi, a przecież ważniejsze są dobra moralne, których nie należy spuszczać z oka, jeżeli chcemy naród uszczęśliwić: cóż np. z tego, że uzyskamy o kilkadziesiąt tysięcy więcej na cele ekonomiczne, jeżeli lud nasz będzie i nadal wyzyskiwany i rozpajany przez szynkarzy i demoralizowany przez znieważanie niedzieli i świąt uroczystych? W tym względzie powinien Sejm głos swój podnieść. — Od p. Winkowskiego chce interpelant dowiedzieć się, co on rozumie przez swój „demokratyzm“, bo oczywista jest sprzeczność między zapewnieniem kandydata, iż jest zwolennikiem demokracyi prawdziwie chrześcijańskiej, a oświadczeniem, że on stoi na gruncie postulatów „stronnictwa ludowego“. Działalność bowiem tego stronnictwa i pism, które je popierają, nie jest przejęta duchem chrześcijańskim. Interpelant pragnie, żeby kandydaci oświadczyli się wyraźnie, czy są za utworzeniem w sejmie nowego stronnictwa, na wzór niemieckiego „centrum?“ Nie jest on antysemitą, bo nie chce nikogo prześladować i krzywdzić; sądzi jednak, że coś trzeba

† X. Eustachy Skrochowski.

Równocześnie, bo kilka godzin jeden po drugim, na przeciwnych krańcach kraju, zdala jeden i drugi od domu i miejsca stałej pracy, zgaśli dwaj mężowie, związani z sobą bardzo blisko, a bodaj najbliżej na tym świecie, związani nietylko przyjaźnią wzajemną, jednością zasad i ideałów, ale jedną wspólną, gorąco przez obu ukochaną myślą, dziełem, któremu jeden z nich poświęcił promienny zachód swego życia, które drugi miał kiedyś po nim prowadzić i rozwijać. Późnym wieczorem 16 bm., skończył żywot swój w klasztorku św. Rodziny Maryi w Czerniowcach, ksiądz Eustachy Skrochowski. Wczesnym rankiem 17-go srebrny dźwięk Zygmunta niósł Krakowowi i Polsce całej wieść żałobną o śmierci jednego z największych synów ojczystej ziemi, wieść o śmierci dawnego arcybiskupa Warszawy, wygnańca-wyznawcy w Jarosławiu, apostoła i misyonarza w Dźwiniaczce — ks. Szczęsnego Felińskiego. Na tych dwóch kapłanach złączonych z sobą miłością ojca i syna, sprawdziło się słowo Pisma św. o Apostołach, iż „jako ukochali siebie nawzajem za życia, tak i w śmierci nie są rozłączeni“.

W cieniu bzów i topoli czerniowieckiego cmentarza, na straży kresowej Kościoła i Ojczyzny przed szyzmatycką nawałą, oczekuje zmartwychwstania niezmordowany szermierz przeciwko szyzmie, gorący miłośnik i obrońca katolicyzmu przez cały swój doczesny żywot. Niezbyt daleko od niego, ku innym, bardziej zagrożonym, bo moskiewskim kresom przybędzie niedługo, ale przybędzie w trumnie, żeby spocząć na ziemi uświęconej jego apostolskim znojem, wśród dusz pracą cichą a ofiarną pozyskanych niebu ten wielki bojownik Boży, dla którego Eustachy Skrochowski był synem z ducha, a miał stać się duchowym jego spadkobiercą i następcą.

Nie ma ludzi niezbędnych: zapewne; są jednak tacy, których szczególnie trudno zastąpić. Eustachy Skrochowski należał do tych ostatnich. Była to natura niezmiernie bogata, łącząca szczęśliwie wielką żywość temperamentu, świetną lotność fantazyi i bardzo dzielny a krytycznie wyrobiony zmysł obserwacyi z szeroką wiedzą i cenniejszą a rzadszą od wiedzy umiejętnością zużytkowania jej wszechstronnie i mądrze. A obok tych przymiotów zmysłu i charakteru, wystarczających już same przez się na wytworzenie niepospolitego człowieka, były w nim jeszcze inne. Było serce gorące i szlachetne, rwące się do ideału jak motyl do światła; była niezachwiana stałość zasad, odwaga w ich wypowiadaniu, sumienność i konsekwencya w stosowaniu do nich życia. Wreszcie jako zewnętrzna powłoka tego, co stanowiło jego duchową istotę, rzadki urok w obcowaniu z ludźmi i prawdziwa wykwintność form towarzyskich, którą dziś weszło w modę traktować lekko, jak antykwarską starzyznę, choć ona jest naprawdę i cechą i miarą cywilizacyi.

Z takiem usposobieniem i podobnymi warunkami Eustachy Skrochowski przeznaczony był na to, aby gdziekolwiek go los postawił, stawać wśród najpierwszych i wywierać łatwy i obszerny wpływ, zdobywać i rozgłos i miłość u ludzi. Wszystko to miał w całej pełni — i miał zawsze. I wtedy, gdy zakładał Bratnią Pomoc wśród kolegów na lwowskiej politechnice i wtedy, gdy budując publiczne gmachy i drogi, zawiązywał na całe życie węzły przyjaźni z całym zastępem wybitnych dziś w kraju mężów, i wtedy, gdy jako zakonnik uczył się w Rzymie i apostołował w Dźwiniaczce, i wtedy wreszcie, kiedy na ostatnie lata życia, na tak krótko przyszedł do Lwowa, aby na wszechnicy i po za nią, wśród młodych i wśród starych „rozgrzewać serca, oświecać rozumy“. Zwłaszcza w tym ostatnim czasie, któż go nie znał i gdzie go nie było w ciągu tych czterech lat, spędzonych przez niego we Lwowie! Na katedrze i kazalnicy, w salonach i stowarzyszeniach, w uczonych dysputach i światowej konwersacyi skupiał zawsze w koło siebie, ujmował czarem słowa i ogniem zapału liczne i dobrane koła — umiał być ogniskiem dla wszystkich. Kiedy się go spotykało wszędzie i widziało jego działalność w tylu różnych, nieraz przeciwnych kierunkach, łatwo było, nie znając go bliżej, mieć wątpliwość, czy ten człowiek nie udziela się nadto, czy się nie rozprasza, czy robiąc tak wiele naraz, jest w stanie robić wszystko dobrze. Kto go znał lepiej i na działalność jego patrzał z bliska, ten sądził inaczej. Wśród właściwości jego tak szczęśliwie obdarzonej natury, była zdolność szybkiego oryentowania się w najzawilszych kwestyach i obejmowania przedmiotu odrazu, wszechstronnie a łatwo, obok tego zaś wstręt do banalnej i powierzchownej rozmowy. Gdziekolwiek był, umiał od pierwszej chwili nadać rozmowie poważny kierunek i jakikolwiek temat zajmował zebranych, treścią rozmowy zawładnąć. Że zaś miał przedziwny talent o najnudniejszym przedmiocie mówić zajmująco i pięknie, nie odstręczał nikogo poważną treścią tego, co mówił — tylko, kiedy się pojawiał w towarzystwie, ustawała czcza gadanina salonowa, a przynajmniej cichła i kryła się po kątach.

A nie dość na tem, że umiał bez pedanteryi i znudzenia wprowadzić wyższy i szlachetniejszy nastrój pomiędzy sfery najbardziej powierzchowne i lekko traktujące życie. Wprowadzał tam coś więcej, bo światło prawd Bożych. Było w nim ogromnie wiele nietylko wiary i miłości Boga, ale i pragnienia i umiejętności szerzenia tej miłości i wiary wkoło siebie. Dzięki temu, cały kierunek jego umysłu był apologetyczny i kierunek ten zaznaczał się wciąż w jego obecności z ludźmi. „Ksiądz Skrochowski, skądkolwiek zacznie rozmowę, skończy ją zawsze na apologii Kościoła“, mówił mi raz ktoś, skądinąd mu życzliwy, nie bez ironicznego zamiaru. Słowa te były słuszne, a zawierają, podług mnie, najwyższą pochwałę zmarłego, zwłaszcza, że w apologii tej nietylko był dobry zamiar, ale było zawsze dobre wykonanie i pomyślny rezultat. Bóg jeden wie, ile ten człowiek robił dobrego w salonie, przy filiżance herbaty. Ile tam rozjaśniło się wątpliwości, ile się usunęło przesądów i uprzedzeń, ile naprawiło zboczeń, ile ten niezmordowany siewacz Boży ziarn dobrych zasiał w myśl i serce słuchaczy, niedomyślających się nawet, że pod wykwintną i lekką formą salonowej gawędy kryje się bardzo mądre, bardzo praktyczne i ściśle katechizmowe kazanie.

Ten sam apologetyczny kierunek przewodniczył jego działalności w literaturze, w nauce, w stowarzyszeniach. W literaturze i estetyce nie rozumiał on sztuki. Kochał piękno, ale tylko jako osłonę i zewnętrzny wyraz moralnego dobra. Szeroki w pojęciach literackich i estetycznych jak nim był w osobistych swych stosunkach, skłonny do ustępstw na punktach drugorzędnych, w rzeczach zasadniczych był stanowczym a nawet bezwzględnym. Przemawiając do ludzi światowych ich własnym językiem, prowadząc z nimi dyskusyę na ich własnym gruncie, ustępując ich osobistym słabościom i przesądom, nie dopuszczał ustępstwa w obec fałszu i grzechu.

W swoich pracach literackich dbał więcej nierównie o ich etyczną tendencyę niż o zewnętrzną fakturę. Tak samo i w odczytach, w konferencyach i pogadankach naukowych, których miewał tak wiele. Były one zazwyczaj bardzo piękne w swej zewnętrznej formie, ale on się o to nie starał wcale. Chodziło mu zawsze tylko o przeprowadzenie jakiegoś dowodu, o rozjaśnienie jakiegoś problematu, o zbicie jakiegoś fałszu — i to mu się udawało zawsze i dobrze, ale właśnie ten brak starania o formę, o efekt, o powodzenie jednał słuchających i zyskiwał sympatyę dla niego, a podnosił i wrażenie, i artystyczną wartość tego, co mówił.

Ale wrażenie i wartość tego co mówił, nie opierały się na tem jednem. Jeżeli od pierwszej chwili pociągał urokiem swej wymowy a ujmował prostotą i zapomnieniem o sobie, to po skończeniu rozmowy lub odczytu słuchacz odchodził pod wrażeniem gruntowności i sumienności tego, co słyszał. Jako popularyzator niezrównany, jasny, dostępny dla każdego, nie był on jednak powierzchowny. Miało się zawsze wrażenie, że nie wydobywa z siebie wszystkiego, a choć nieraz w tym samym przedmiocie słyszało się go mówiącego, nie powtarzał się nigdy, zawsze umiał wpleść nową myśl i nowe fakta. Zasób, z którego czerpał, tak był bogaty i nieustanną pracą wzmagany, a umysł tak świeży i bystry, tak dzielny, że ciągła ekspanzywność nie zmniejszała ani na chwilę jego żywotności i siły Owszem, im więcej miał do czynienia, tem był, zdawało się, jaśniejszy, tem polot jego stawał się bardziej świetnym i doniosłym.

X. Jan Gnatowski.

(Dokończenie nastąpi).

uczynić w kwestyi żydowskiej, której istnienie daje nam się we znaki przy każdych wyborach; żydzi bowiem trzymają się solidarnie i dążą do własnych celów, jak było przy ostatnich wyborach w Tarnowie, w których skupili się pod hasłem odrębnej narodowości i religii, głosując za swoim kandydatem. Otóż mowca nie sprzeciwiałby się przyznaniu im pewnej liczby mandatów w miastach większych, byleby tylko nie majoryzowali katolików i byleby naszymi reprezentantami nie stawali się posłowie podobni np. do Blocha. Gdzie żydzi mają liczebną przewagę, tam wytwarzają się stosunki dla chrześcian bardzo niepomyślne we wszystkich sprawach miejskich i nie widać wcale owej asymilacyi, o której tyle mówiono.

Ks. dr. Szczeklik ubolewa nad tem, że według ustaw obecnych mogą żydzi nauczać i wychowywać młodzież katolicką i rzeczywiście jest pewna ich liczba, chociaż dotąd nie wielka, pomiędzy nauczycielami szkół ludowych. Dalej pyta się, jak kandydaci zapatrują się na zrównanie katechetów z nauczycielami religii żydowskiej i czy będą się starali o polepszenie bytu tych katechetów?

Dr. Rutowski dziękuje interpelantom, że poruszyli sprawy pierwszorzędnej wagi, i żałuje tylko, że nie może o wszystkich mówić dla braku czasu. Sprawą katechetów zamierza się zająć. Ks. Pechnikowi odpowiada, że stronnictwo lewicy jest wprawdzie w zupełnym rozkładzie i musi doznać przeobrażenia, ale trzeba się z niem liczyć; mówca nie chce robić obecnie żadnych projektów na przyszłość; w każdym razie może zapewnić, że Koło polskie bronić będzie owych interesów, które leżą na sercu interpelantowi, jak czyniło dotąd. Że koalicya nie udała się, to nie stanowi dowodu, iż była błędem politycznym. Projekt jego reformy wyborczej nie podoba się i jemu samemu, ale nic lepszego nie można było wymyśleć w tych stosunkach. Nie jest zwolennikiem dawnego systemu delegacyjnego. Sprzeciwia się także stanowczo powszechnemu głosowaniu, którego niektórzy u nas żądają, a które już w innych krajach wydało złe owoce. Patrzy z obawą na obecne agitacye wśród mas ludowych, szerzące jad nienawiści; nie chce utworzenia „nowej kasty ludowej“ (huczne oklaski).

Dr. Stec mówi o potrzebie zakładania fabryk z pomocą kraju i państwa. Rzemieślnikom należałoby otworzyć tani kredyt. W kwestyach religijnych zgadza się ogólnikowo z interpelantami.

Dr. Vayhinger jest także stanowczo przeciwny powszechnemu głosowaniu i oświadcza się za obsyłaniem Rady państwa przez sejmy.

Dr. Winkowski odpowiada dr. Pechnikowi, że przez demokracyę rozumie, iż wszyscy obywatele powinni uważać się za równych. Co do szerzenia „waśni społecznej“, przypomina, że dawniej uważano ks. Kopycińskiego i Potoczków za radykałów, jak dziś nazywają się kandydaci „stronnictwa ludowego“, którzy jednak są „dobrymi katolikami.“

Pomijam mniej ważne szczegóły z tego zgromadzenia, które odbyło się, z wyjątkiem kilku mniejszych epizodów, poważnie i spokojnie. W ostatnich dniach polepszyły się szanse dr. Rutowskiego tak, że wybór jego zdaje się być zapewniony. *N.*

* * *

W Krakowie w dalszym ciągu na zgromadzeniu wyborców, odbytem we wtorek, wygłosili mowy kandydackie prof. August Sokołowski, dr. Wawrzyniec Styczeń i dr. Ferdynand Weigel. Siódmy kandydat p. Edmund Zieleniewski nadesłał do prezydyum zebrania pismo, w którem oświadczył, iż zrzeka się kandydatury.

Komitet przedwyborczy miejski pod przewodnictwem p. prezydenta miasta Friedleina dokonał onegdaj wieczorem próbnego głosowania nad kandydatami. Głosujących było 45. W pierwszem głosowaniu p. Leon Chrzanowski otrzymał 38 głosów, prof. dr. Henryk Jordan 36 głosów, zatem, absolutną większość. Niżej absolutnej większości otrzymali: p. Jan Rotter 17 głosów i dr. Ferdynand Weigel 16 głosów. W drugiem głosowaniu dr. Weigel otrzymał 28 głosów. Komitet przedstawi zatem wyborcom kandydatury pp. Chrzanowskiego, Jordana i Weigla.

* * *

P. Franciszek Paszkowski, który upadł w pow. krakowskim z mniejszych posiadłości przeciw włościaninowi Wójcikowi, ma zamiar ubiegać się o mandat poselski z większych posiadłości pow. krakowskiego w miejsce p. Władysława Struszkiewicza, zaś p. Józef Męciński ubiegać się będzie o mandat poselski z większych posiadłości powiatu tarnowskiego w miejsce dr. Rutowskiego.

* * *

Dr. Franciszek Soroń adwokat krajowy we Lwowie uprasza nas o zamieszczenie następującego sprostowania. Szanowna Redakcyo! Upraszam uprzejmie o sprostowanie podanej przez *Przegląd* z 27 września 1895 tej mylnej wiadomości, iż stawiałem w powiecie cieszanowskim moję kandydaturę na posła do Sejmu jako kandydat stronnictwa ludowego. Oświadczyć muszę, iż po rezegnacyi J. księcia Puzyny zgłosiłem moję kandydaturę do komitetu miejscowego zaraz po zawiązaniu się tegoż z polecenia komitetu centralnego. Gdy nadto Rusini obiecali mi swe poparcie — przeto moja kandydatura miała wszelkie szanse — gdyby wybory były wolnymi wyborami jak ustawa nakazuje. Dr. *Franciszek Soroń*

* * *

Otrzymujemy następujące pismo: Z upoważnienia mężów zaufania, powołanych przez komitet centralny, mamy zaszczyt zaprosić szanownych pp. wyborców z większej posiadłości okręgu rzeszowskiego na przedwyborcze zgromadzenie które się odbędzie we środę dnia 2 październik b. r. o godzinie 10 przed południem w sali rady powiatowej w Rzeszowie. Na tem zgromadzeniu złożą dotychczasowi posłowie sprawozdanie z czynności poselskich.

Rzeszów 25 września 1895.

Adam Jędrzejowicz
Stanisław Dąmbski.

* * *

Wczoraj odbyło się posiedzenie lwowskiej Izby handlowej, na którem dr. Zdzisław Marchwicki, poseł do sejmu z tej Izby, zdał sprawę ze swych czynności w sejmie. Zgromadzeni wysłuchali tej mowy z całą uwagą, poczem p. Ciuchciński imieniem kolegów podniósł zasługi dra Marchwickiego, jego energiczną i wydatną pracę około miasta i kraju. W końcu wyraził mu uznanie i postawił jego kandydaturę na przyszłe sześciolecie. Wnioski te jednomyślnie przyjęto.

* * *

Komitet miejski przedwyborczy w Rzeszowie polecił wyborcom kandydaturę p. Pogonowskiego.

Kronika paryska.

Paryż 21 września.

Manewry armii francuskiej, które odbywały się na płaskowzgórzu Langres i przed paru dniami się zakończyły, z jednej strony, dla ogółu, stanowiły źródło entuzyazmu i pełnego dumy zapału, z drugiej w pewnych kółkach i sferach wzbudziły troskę i obawę. Przyczyną radości dla publiczności francuskiej była skonstatowana przez wszystkie dzienniki i sfery dzielność wojsk francuskich, a jeszcze bardziej obecność w obozie podczas całych manewrów rosyjskiego jenerała Dragomirowa, który na dobitek tego, że jako Rosyanin musiał z natury rzeczy wzbudzić w francuskich sercach mdłości radosne, nie odznaczał się wcale wstrzemięźliwością słowa, gdzie mógł przemawiał, wznosił okrzyki „Vive la France!“ — kazał grać marsyliankę, i on, sługa carski, z odkrytą głową słuchał tego hymnu, o którym Tołstoj powiada, że wszystkich panujących radby na szafot posłać.

Ale w radości tej, jak rzekłem, była i kropla goryczy. Powodem jej stał się niespodzianie popularny „kochany prezydent Faure“, którego popularność podczas manewrów jeszcze w dwójnasób wzrosła. I to się właśnie nie podobało pewnym sferom, w których zaczęto podejrzywać p. Faura, iż dąży do dyktatury. Rzecz charakterystyczna, iż oburzenie z tego powodu objawiło się przedewszystkiem w dziennikach monarchicznych, gdyż w Faurze upatrują one nową przeszkodę przywrócenia monarchii, jedynego, wedle nich, środka ratunku dla Francyi. Z bardzo ciekawymi więc wywodami na temat popularności p. Faura wystąpił jeden z dzienników orleanistowskich.

Zręcznie rzuciwszy podejrzenie, że obecny prezydent nie jest obcy marzeniom o dyktaturze, dziennik ów zastrzegł się, że sam tym środkiem nie pogardza, ale sądzi, że tylko natchnione jednostki, przekonane, iż wytworzyć potrafią szczęście całego narodu lub całej nawet ludzkości, dążą do władzy, aby urzeczywistnić swe projekta, ale przecież za natchnioną jednostkę niepodobna uważać byle wzbogaconego kupczyka z Paryża lub Havru. Zresztą popularność jest do twarzy tylko monarsze, ale niepotrzebna jest choćby najdzielniejszemu kupcowi i posłużyć mu może chyba tylko do osiągnięcia kiedyś wspaniałego pogrzebu, często zaś staje się dla republikańskiego męża stanu powodem rozczarowania, wygnania i zapomnienia. Dziennik ów zatem radzi p. Faurowi, we własnym jego interesie, aby się nie starał zbytnio o zwiększenie swej popularności. Artykuł ten charakteryzuje nietylko usposobienie sfer monarchicznych, ale daje nadto próbkę popularności p. Faura, i dowodzi jak to nawet z najpopularniejszym prezydentem dzienniki francuskie bez ceremonii się obchodzą.

Paryska wystawa powszechna, która ma rozpocząć dwudzieste stulecie, jak wiadomo ma już licznych wrogów zanim się narodziła, co już pominąwszy dysputy na temat decentralizacyi i objawy niechęci kraju do Paryża, łatwo się da pojąć, bo wszyscy, których projekta planów przyszłej wystawy orzucono, zapisali się do jej wrogów. A cyfra ih, to legion! W każdym razie, czy opozycya ta antiwystawowa odniesie jaki skutek, czynie, po zebraniu się ponownem parlamentu dojść się jeszcze na ten temat nasłuchamy.

Tymczasem w kraju gdzie płyną rozmaite Chateau: Lafitte, Margaux, d'Yquem, jednem słowem w Bordeaux urządzono wystawę istotnie godną widzenia, ten więcej, że za ramy służy jej jedno z najpiękniejszych miast francuskich i okolica zwana grodem Francyi.

Nic wspanialszego jak widok z dumnego mostu na Garonnie na morze domów i na port, gdzie okręty handlowe niemniej licznie zarzucają kotwicę jak w Hawrze lub Marsylii, nic charakterystyczniejszego nad ruch ożywiony na placu teatralnym i na tak zwanym „Cours“, nic wdzięczniejszego jak przechadzki po wspaniale oświetlonych, pełnych wytwornego smaku, ogrodach wystawy. A przytem *la Bordelaise*, tak nazywają mieszkanki miasta Bordeaux, należy do najpiękniejszych typów kobiety francuskiej, ma bowiem w sobie coś z Hiszpanki.

Wystawa w Bordeaux jest właściwie olbrzymim parkiem, w którym kryją się liczne, najczęściej w oryginalnym stylu wzniesione małe pawilony. Honorowe miejsce zajmuje, jak przystało na Bordeaux, pawilon wystawy win, sam dla siebie wdzięczny, barwny sympatyczny, w którym nadto płynne skarby, poustawiano w architektoniczne arcydzieła. Geograficzne położenie Bordeaux jako miasta portowego tłumaczy to, że także dział kolonialny jest bardzo obficie reprezentowany. Produkta algierskie mieszczą się w osobnym pawilonie wzniesionym też w algierskim stylu. Dział sztuk pięknych ma nadzwyczaj charakterystyczne piętno, że wiele bogatych bordeaux'skich rodzin — a nie brak tu ich — wiedziorych pochwały godnym patryotyzmem lokalnym, oddało na upiększenie tego działu, z dziada pradziada odziedziczone cenne sprzęty domowe i starożytności najrzadsze. A nie ma obawy, aby ci patryoci skarby te wypuścili z kraju, jak ów Włoch, który pozwolił, aby słynne srebra, odnalezione w Bosco-Reale, za pośrednictwem Rotszylda dostały się do paryskiego Luwru.

Naturalnie na wystawie bordeaux'skiej jest „pawilon gazowy“, a tuż obok, jak groźny współzawodnik, pawilon elektryczny, który wprawdzie nie jest tak olbrzymi, jak planowany na wystawę paryską w r. 1900, mimo to zasługuje na pilną uwagę i zawiera dość, aby zwiedzającemu dać jasne wyobrażenie o obecnym stanie tego olbrzymio rozrastającego się przemysłu. (Pawilon ten spalił się już. *Prz. R.*) Fakt, że na wystawie osobny pałac wystawiono dla „sztuki religijnej“ dowodzi, że chyba Francya wcale nie jest tak ateistyczną, jak się na pierwszy rzut oka wydaje turyście, przybyłemu zwłaszcza do Paryża.

Najżywszem zainteresowaniem publiczności dzieli się edissonowski „Kinetoskop“, z udoskonalonym aparatem dla wygrzewania małych dzieci, które przedwcześnie ujrzały świat. Nadto wioski anamicka i afrykańska, paryscy śpiewacy tingl-tanglów, „chińskie cienie“, należą do „cudów“, które wiele uciechy sprawiają publice zupełnie jak w Paryżu i w całym świecie, gdzie sobie ludzie wprawdzie wiele myślą o nowożytnym wykształceniu, ale na równi z dzikimi lubią się gapić i — pośmiać bezmyślnie.

Warto jednak poznać tę wystawę, warto poznać okolice i lud południowo-francuski ze swymi oryginalnymi obyczajami i zwyczajami.

W wiosce Moglans n. p., w departamencie Niższych Pireneów, istnieje periodyczny jarmark na włosy kobiece. W oznaczonym dniu dziewczęta i kobiety, które chcą sprzedać swoje warkocze, schodzą się do tej wioski, gdzie znajdują już setki zgromadzonych ze wszystkich stron handlarzy. Ci, z wielkiemi nożycami, zawieszonemi na rzemieniu pasa, chodzą od jednej do drugiej targując towar; gdy targ stanie, chlast nożycami i długie kosy spadają do worków wędrownych fryzyerów, skąd idą na głowy dam miejskich.

W Bordeaux na tle wystawy odbywały się naturalnie liczne zjazdy i kongresy. Jednym z ciekawszych był międzynarodowy zjazd dziennikarzy. Był on głównie zjazdem dziennikarzy francuskich i angielskich, przy udziale delegatów z Austryi, Włoch, Belgii, Hiszpanii, Portugalii i Ameryki. Prasa niemiecka i rosyjska nie wzięły udziału odpowiedniego swemu znaczeniu i rozwojowi. Obrady toczyły się przedewszystkiem nad statutem „Centralnego biura prasy“ i takiej zmiany zjazdów międzynarodowych, aby na nich odtąd nie wszyscy bez wyjątku dziennikarze mieli głos decydujący, lecz reprezentanci towarzystw dziennikarskich różnych krajów i narodów. Kto ma wygórowane pojęcie o znaczeniu kongresów w ogóle, ten może się łudzić, iż z kongresu bordeauxskiego wyniknie jaka korzyść powszechna. My widzimy znaczenie jego chyba we wzajemnem towarzyskiem poznaniu się po za tym zjazdem; organizacya dziennikarstwa za jego inicyatywą powstała, może przynieść realną korzyść chyba tylko prasie francuskiej, jak podobna instytucya przyniosła dziennikarstwu angielskiemu.

Z izby sądowej.

Londyn 18 września.

(Dwaj mali matkobójcy).

Przed tutejszym sądem przysięgłych rozegrała się niezwykła sprawa, jako oskarżeni bowiem występowali dwaj mali chłopcy, jeden liczący lat niespełna 10, drugi około 12, obwinieni o to, że zamordowali swoją matkę.

Rzecz się tak miała: w Plaistow, w północno-wschodniej stronie Londynu mieszkał Allan Coombes, z żoną i dwojgiem dzieci, chłopcami, młodszym Natanielem i starszym Robertem. Ponieważ p. Coombes był sternikiem na jednym z okrętów „Towarzystwa atlantyckiego“, często się zdarzało, iż długi czas nie było go w domu. Podczas niedawnej, ostatniej jego podróży dom jego nawiedziła straszna zbrodnia. Uwagę sąsiadów zwróciło mianowicie to, że od dłuższego czasu nie widywali pani Coombes, ale malcy zapytywani w tym względzie, odpowiadali, że mama wyjechała do Liverpoolu po jakiś wielki spadek. Kiedy nadszedł termin zapłaty czynszu za mieszkanie, Robert uiścił należytość i wziął kwit od właściciela domu, a potem chłopcy żyli dalej wesoło i swobodnie, jedząc łakocie i grając w karty z niejakim Foxem, dwudziestopięcioletnim robotnikiem dokowym, którego sobie dla towarzystwa do domu wzięli. Nareszcie przybyła do Plaistow ich ciotka, w odwiedziny do matki, ale chłopcy przez dwa tygodnie podobnie ją odprawiali jak wszystkich sąsiadów i znajomych. Nareszcie dziewczyna ta zaniepokojona tajemniczością sytuacyi, wezwała policyę, wyłamano drzwi zamkniętego pokoju pani Coombes i tam znaleziono silnie już nadpsutego trupa... Zabito ją pchnięciem noża w samo serce widocznie podczas snu. Przesłuchani chłopcy odrazu przyznali się do zbrodni, powiedzieli, że plan zbrodni ułożyli wspólnie, a Robert go wykonał. Chcieli w ten sposób zdobyć sobie pieniądze, aby z niemi dostać się na jakiś okręt, podbić jakąś wyspę i żyć jak rozbójnicy morscy, o których czytali w książkach. Ponieważ jednak po dokonaniu zbrodni wydało się im, że za mało mają pieniędzy na wyprawę zamorską, pozostali w Plaistow i tylko bawili się doskonale.

Ponieważ prawo angielskie orzeka bezkarność dzieci poniżej 10 lat, więc po skonstatowaniu tego przez trybunał, młodszy chłopiec Nataniel stawał przed sądem jako świadek zaprzysiężony, zresztą bowiem ukarania go pozostawiono ojcu.

Z przebiegu procesu najciekawszymi punktami było przesłuchanie Nataniela, dalej ojca małych morderców i odczytanie listu Roberta.

Obaj chłopcy, nawiasem powiedziawszy, prześliczne dzieci, zachowywały się tak, jak gdyby proces był tylko dalszym ciągiem bardzo dowcipnego jakiegoś figla. Robert miłym uśmiechem witał znajomych, których spostrzegł wśród publiczności, a ujrzawszy ciotkę, wchodzącą do sali, zawołał: „Dzień dobry ciotuniu! Jak się ciocia ma, co tam słychać. Ze mną wszystko dobrze. A proszę mi co przysłać do czytania“.

Nakoniec, przesłuchany jako świadek, opowiedział wszystko szczegółowo i spokojnie.

— To ja — rzekł — dałem sygnał do całej sprawy. W przeddzień schowaliśmy nóż w kominku sypialni. Kiedym zobaczył, że mama usnęła, poszedłem po brata, który czekał na mnie w swem łóżku, i rzekłem mu: „It is all right!“ Wtedy on skoczył na łóżko z nożem i „zrobił wszystko“. Jaka szkoda, żeśmy nie mogli udać się na wyspę. Bylibyśmy się tak dobrze bawili!

Pan Grantham, obrońca mordercy, w tem miejscu zadał mu kilka pytań co do stosunku dzieci do matki. Dziecko zeznało szczerze, że matka była bardzo dobra dla niego i dla brata.

— Czyście nigdy nie mówili o matce po dokonaniu morderstwa? — zapytuje adwokat.

— O, tak — odpowiada chłopiec — brat powiedział, że trupa zaczyna być czuć, i że dobrze byłoby posypać go niegaszonem wapnem.

— Dlaczego niegaszonem wapnem?

— Czytaliśmy o tem w pewnej powieści.

Z zeznań ojca, który stanął przed sądem w grubej żałobie, zrozpaczony, nie śmiejąc spojrzeć na synów, wynika, że Robert jest waryatem, który zbrodniczy zmysł podniecał w sobie czytaniem sensacyjnych powieści i opisów zbrodni po dziennikach i pilnem chodzeniem na rozprawy sądowe.

„Robert nie posiadał nigdy umysłu zupełnie jasnego“ mówi ojciec. „Będąc bardzo małym, objawiał już egzaltacyę chorobliwą i wielką drażliwość nerwową. Zasięgaliśmy nawet z tego powodu rady dra Cowarde'a. Lekarz zapewnił nas, że dziecko dotknięte jest chorobą mózgową i zalecił jak największą ostrożność i łagodność w postępowaniu z niem. Moja żona nie miała zwyczaju bić dzieci i jestem pewny, że tego nie czyniła nigdy. Zgodnie z zaleceniem doktora powstrzymywała się nawet od robienia jakichkolwiek wymówek Robertowi, który z tego powodu przywykł w swych postępkach rządzić się fantazyą, ale nigdy nie czynił złego użytku z pozostawionej sobie swobody. Chodził regularnie do szkoły i dość prędko nauczył się czytać i pisać. Doktor zaniepokoił się nawet i radził dostarczać mu rozrywek; zabrałem chłopca z sobą do Nowego Jorku ubiegłego lata i podróż służyła mu bardzo dobrze. Nic nie wskazywało, że jest zdolnym popełnić straszny czyn, który przywiódł go tutaj. Wiem, że znaleziono u niego dużo książek szkodliwych, ale ja zawsze widywałem w jego rękach tylko dzieła treści niewinnej.“

Zeznania ojca potwierdzają opowiadania innych świadków, a przedewszystkiem list, jaki Robert na parę dni przed rozprawą napisał do mr. Shawa jednego z przyjaciół rodziny Coombesów. List ten brzmi:

„Otrzymałem pańskie pismo we środę. Zdaje mi się, że mnie powieszą, ale mniejsza o to, byleby mi dano dobre śniadanie przed straceniem. Zresztą jeżeli mnie nie powieszą, sam się uduszę. Spodziewam się, że pan miewa się dobrze. We wtorek będę w Old Bailey na mej sprawie. Zapewne ujrzę tam pana. Skażą mnie na śmierć, a ja wszystkich świadków będę traktował, jak kłamców. Pozostaję pańskim szczerym przyjacielem — Robert Coombes“.

W tem miejscu listu Robert wyrysował siebie, idącego na szafot i rozdającego pieniądze osobom zbliżającym się do niego z dopiskiem. „M. W. 25,000 franków M. H. 50,000 fr., memu ojcu milion, dozorcom 7,500 fr. i t. d.“ Dalej wyrysowana jest szubienica, a przy niej uwaga, iż pochyliła się w jedną stronę z powodu dużego ciężaru ciała.

Kiedy małemu zbrodniarzowi pokazano nóż, którym matkę zamordował i zapytano czy zna tę broń, z uśmiechem kiwnął głową potakująco.

Wszystkie objawy obłąkania potwierdziła ekspertyza lekarska.

Dr. Walker, lekarz więzienia w Hollowayu, obserwował Roberta od chwili aresztowania. Dziecko, jego zdaniem, jest obłąkane; miewa halucynacye, nocami słyszy głosy wzywające do zbrodni. Mniej więcej takież zdanie wypowiada doktor o drugim oskarżonym Foxie, którego świadkowie uważają za całkowicie niepoczytalnego.

Wobec tego sąd uznał Roberta za nieuleczalnego waryata i skazał go na dożywotnie zamknięcie w domu obłąkanych. Wspomniany Fox, towarzysz małych Coombesów po zbrodni, uwolniony zupełnie, gdyż się okazało, że nietylko jest umysłowo chorym, ale nadto nic nie wiedział o ich zbrodni.

Lwów 27 września.

(Interes z podpalaniem).

Przed sądem przysięgłych stawał onegdaj i wczoraj niejaki Antschel Wisznitzer, dzierżawca folwarku Zahatka, oskarżony o podpalenie własnych budynków. Chciał on na tem zrobić interes, mianowicie wynagrodzeniem otrzymanem od Towarzystwa ubezpieczeń postawić się majątkowo na nogi. Miał nadzieję, że mu się ta operacya powiedzie, jak powiodły się inne podobne. Tak np. w r. 1893 znalazłszy się w trudnem położeniu wskutek długów, Wisznitzer kazał swemu teściowi fikcyjnie zasekwestrować wszystkie ruchomości i inwentarz, a dłużników swoich puścił z kwitkiem. Na wiosnę 1894 nastąpiła druga operacya, mająca nieco charakteru gry w loteryę, ale uwieńczona pomyślnym skutkiem. Czcigodny bowiem p. Antschel ubezpieczył swe zboże od gradu na niesłychanie wysoką sumę. Grad rzeczywiście przyszedł, a on wziął od Towarzystwa krakowskiego 2.448 zł., czyli dwa razy tyle, ile wart roczny zbiór owego folwarku. Rozzuchwalony powodzeniem Wischnitzer postanowił spróbować z innym działem ubezpieczeń, mianowicie ogniowym. Zboże więc, a właściwie pozostałą po gradzie słomę i w ogóle cały swój żywy i martwy inwentarz zaasekurował na 2525 zł. Ponieważ zaś ogień nie przychodzi tak na zawołanie prawie, jak to się u nas z gradem zdarza, Antschel więc postanowił „dopomódz szczęściu“, ale to go właśnie zaprowadziło na ławę oskarżonych.

Dniał 7go października kazał Wischnitzer pozaciągać stojące w dziedzińcu wozy, pługi i narzędzia rolnicze pod dach słomiany łączący dach szopy z stodołą. Parobkom zaś nakazał iść wcześnie spać do stajni, bo sam także wcześnie spać pójdzie. Po uczynionych w ten sposób przygotowaniach, jak twierdzi akt oskarżenia, podpalił Wisznitzer w nocy stodołę i udał, że śpi snem twardym, spał nawet jeszcze wtedy, gdy sąsiad jego właściciel folwarku Zgoda p. Leopold Lang, przybył mu z ludźmi na ratunek.

Wedle zeznań p. Langa i innych świadków, zastano dziedziniec cały wysypany słomą jakby na wyściółkę dla bydła, a ogień szedł gwałtownie po tej słomie ku spichlerzowi i dwom stogom hreczki i owsa. Nie pomogły nawoływania p. Langa, Wisznitzer zabrał ludzi swych i polecił im wynosić meble

72)

NA SŁUŻBIE

POWIEŚĆ

ZOFII KOWERSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Zimny rozsądek i przykład Leontyny nakazywały jej odsunięcie od siebie przypuszczenia, że Juliusz ją kochał; jakiś wewnętrzny głos, który ona brała za podszept chorej wyobraźni, wpajał jej przeświadczenie, że rozsądek się mylił. Jeżeli jednak tak było, to ona tu, do tego domu, sprowadziła nieszczęście. Ona, która pragnęła dobra, stała się przyczyną prawdziwej klęski dla starej, znużonej życiem kobiety, której usta nawet śmiać się zapomniały, i dla tego młodzieńca, któremu oddała przyjaźń tak żywą, że gotowa była dać jej świadectwo najtrudniejszem choćby poświęceniem. Tymczasem wplątała się w jego istnienie, znacząc je walką i cierpieniem, rozrywając dawniej przez niego nawiązane węzły. I na tamtą dziewczynę, która była w swojem prawie, z jej powodu padł cień niesłuszny. Wszystkie zazdrości i gniewy Koci nie były śmiesznem roszczeniem, ale raczej bystrością wzroku, gdy ona, Alina, była ślepa i naiwna jak dziecko. Przyjęto ją tu i przytulono, uczyniono ją prawie członkiem rodziny, a ona, bez złych chęci wprawdzie, stała się w rzeczywistości żmiją, wygrzaną na łonie. Skierczyna od jakiegoś czasu mówiła jej „ty“, używała nawet czasem, odzywając się do niej, zwrotu „moje dziecię“, a ona była tu wichrzycielką spokoju i sumienia, była zawadą, która zatrzymała nagle naturalny bieg rzeczy. Gdyby nie ona, Juliusz w tej chwili byłby może szczęśliwym człowiekiem, bez grosza długu, bez tych nieznośnych ciężarów, które mu życie zatruwały. Zapomniałby o niesmaku, którego doznawał wobec skarg i obelg wierzycieli, odpocząłby po życiu pełnem mozolnego a mało skutecznego trudu. A może nieszczęście, które ona tu wniosła, rozciągało się i dalej, może wchodziło do niejednego domu, do niejednej rodziny, której całe mienie utopione było w zawikłanem pasmie interesów Zbrucza. Ona dotąd, widząc, ile Juliusza kosztował stosunek z wierzycielami i odwiedziny każdego z nich, bezmyślnie, po dziecinnemu nie cierpiała tych ludzi. Nie rozumując nad przyczynami, miała żal do tych nawiedzających Zbrucz niemiłych gości, utyskiwała w duchu na tych natrętów i gburów. Teraz, gdy przypuściła, że jest może przyczyną mimowolną, a jednak rzeczywistą, tych ciężkich stosunków, uczucie spadającej na nią odpowiedzialności przyniosło jej trwożną potrzebę uprzytomnienia sobie także interesów tej grupy ludzi, do których miała dotąd tylko żal za to, że Juliuszowi życie zatruwali. Może tam w łonie tych nieznanych rodzin rozgrywały się dramata z powodu niemożności odzyskania uwięzionego kapitału; może się zrywały jakie związki, może cierpiały jakie moralne interesa?... I temu wszystkiemu była winna ona! Ale ponad te wyrzuty wypływał jeden, najcięższy, ten, przy którym serce jej żywą krwią broczyło: zabranie spokoju i szczęścia człowiekowi, dla którego po szczęście i spokój gotowa była pójść przez ogień i wodę.

Po ciężkich chwilach cierpienia, przy myśli, że Juliusz ją kochał, przychodziły jej znów wątpliwości co do tego odkrycia. Może się myliła, i to całe wzburzenie, którego doświadczała, było po prostu śmieszne? Ale co tam śmieszność! Wszak tu chodziło o Juliusza i trzeba było raczej stanąć na stanowisku obwinionej, niż iść drogą bezmyślności i naiwnej tymczasowości. Chociaż wątpiła, trzeba było postąpić tak, jakby już wątpliwości nie miała. Więc może była powinna opuścić Zbrucz natychmiast? Postanowiła wstrzymać się z decyzyą aż do przyjazdu ojca. Parę tygodni zwłoki w tym razie już nic nie znaczyło.

Raz stanąwszy na stanowisku silnego przedsięwzięcia tego, co dla Juliusza najlepsze być mogło, Alina wróciła do obowiązków swoich. Nie była marzycielką. Jej egzaltacya była polotem uczucia, nie fantazyowaniem wyobraźni; nie zaprzątała więc jej głowy i zostawiała ją trzeźwą do czynu. Juliusz ujrzał ją pobladłą trochę po bezsenności i gorączce, ale już spokojną i niespuszczającą oczu przed jego wzrokiem. Wydało mu się tylko, że była poważniejsza i mniej mówiąca, niż dawniej.

Wkrótce Alina przekonała się, że była zbyt szczerą, zbyt prawdomówną na to, aby przy podejrzeniach, jakie się w niej zrodziły, dawny jej stosunek z Juliuszem mógł trwać niezmieniony. Mówiła dotąd z młodzieńcem o wszystkiem, jak z bratem. Znał wszystkie jej nadzieje, wszystkie uczucia, wszystkie poglądy, a teraz nagle musiała zamykać przed nim w duszy to, co było dla niej udręką największą. Wyrodziło się w niej wobec Juliusza pewne skrępowanie, pewna nieśmiałość i nienaturalność. Nie umiała znaleść właściwego tonu dawnej ufnej przyjaźni. Udawanie było jej wstrętne, a tak usposobieniu jej niewłaściwe, że się z rolą dawnej swobody borykała, jak najmizerniejsza z aktorek prowincyonalnych. Ta niemożność uchwycenia właściwej nuty powiększała jej nieśmiałość i była to nagle inna Alina, którą Juliusz śledził wzrokiem badawczym.

— Zachowanie się moje jest takie, — myślała dziewczyna — że możnaby przypuszczać, iż popełniłam zbrodnię, której odkrycia się boję.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że to była w niej dziewicza duma i dziewicza wstydliwość, która przyjmować mogła swobodnie i z zapałem przyjaźń młodzieńca, ale która wobec jego miłości czuła się kwiatem zwijającym przy dotknięciu nieskazitalne listki.

W tysiącznych, nieuchwytnych drobiazgach codziennego życia, zmiana, jaka w niej zaszła, uwydatniała się bez jej wiedzy i woli. Dawniejszy stosunek czystej przyjaźni, przebywanie z Juliuszem i szukanie jego towarzystwa, dziś wydawało się jej niedarowaną kokieteryą. Ona powinna była oddalać go od siebie, zaznaczać jak największy przedział między nim a sobą.

Pewnego dnia, gdy przyszedł proponować przejażdżkę jej i Mieci, zaczerwieniła się nagle ni z tego ni z owego. Jej nie należało zgadzać się na przebywanie z nim całemi godzinami! Rumieniec, który jak płomień na swej twarzy poczuła, przyprawił ją o tem większe zmieszanie. Chcąc je ukryć, onieśmielona, niewiedząca co począć, przyjęła propozycyę, a potem, choć wzrok miała spuszczony, odczuła badawcze spojrzenie Juliusza, które zdawało się przedostawać aż do najgłębszych tajni jej duszy. Co on sobie pomyśli o niej? Ah, wszystko jedno co pomyśli, wszak tu o nią nie chodziło bynajmniej! Ona była bardzo obraźliwa, bardzo drażliwa, ale nie w takich okolicznościach. Chodziło jej tylko o niego. On gotów pomyśleć, że jest przez nią kochanym, a wtedy walka dla niego stanie się jeszcze trudniejsza.

Za owym pierwszym rumieńcem dziewiczej wstydliwości poszły inne. Sama obawa zaczerwienienia się nie w porę, wywoływała tę łunę na policzki Aliny. Po rumieńcu następowała zbytnia sztywność, która okupić chciała rumieniec, a stawała się niezręcznością i nienaturalnością. Tę nienaturalność ona odczuwała jako fałsz i jako błąd, on jako zagadkę, która go dręczyła.

— Żeby tylko nie pomyślał, że ja się w nim kocham — mówiła sobie Alina z trwogą i z najwyższem niezadowolnieniem z siebie samej — ale przecie on musi czuć, że dla panny, mającej choć odrobinę godności kobiecej, jest kilka kategoryi takich mężczyzn, względem których miłość byłaby dla niej upokorzeniem: ksiądz, lokaj i mąż innej kobiety, skoro z inną ożenić się tylko może.

Nazajutrz znowu inne myśli obległy jej zmącony umysł. Podczas spaceru z Miecią dopędził je Juliusz, idący w tę samą stronę. Szedł rozmawiając z Miecią obok Aliny milczącej, a wyrzucającej sobie swoje milczenie jako nienaturalność i zmieszaną tem, że się bała zmieszania i niewczesnego rumieńca. Postępowano groblą wśród łąk, obeschłą już brzegami i dla pieszych nie przedstawiającą już obawy zamoczenia nóg, ale mającą środkiem kałuże i miejsca gdzie trzęsawisko pragnęło pracę rąk ludzkich zniweczyć. Naprzeciwko idących jechał jednokonny wózek wyplatany, napełniony kartoflami. Obok niego szedł chłop w łapciach, mały i mizerny, trzymając lejce w ręku. Koń wychudzony przez złe zimowisko, z kudłatą szerścią, ciągnął wózek z trudnością, sapiąc głośno. Nagle wózek wjechał w miejsce trzęsawe, chłop, czując niebezpieczeństwo, okładał konia batem, ale biedne zwierzę, po kilku heroicznych wysiłkach, stanęło, znosząc baty, lecz nie ruszając się z miejsca. Po parominutowym odpoczynku, zaczęło się znowu okładanie konia, jego usiłowania bezskuteczne, a potem obojętność zupełna na znęcanie się człowieka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

z domu i składać je o 150 kroków w ogrodzie i przybył dopiero do ognia w godzinę, gdy już nie było żadnego niebezpieczeństwa, albowiem p. Lang przy pomocy ludzi przybyłych z Zakątka, odgarnął i ugasił palącą się na ziemi słomę, lokalizując w ten sposób pożar. Dziwne to zachowanie się Wisznitzera podczas ognia, okoliczność, że w asekurowanych ogromnie wysoko stogach znaleziono tylko słomę, a w spichrzu zamiast zboża tylko plewę, nakoniec zeznania parobka jego Seńka Nahulaka, że go namawiał, by w sądzie zeznał, iż widział w dniu pożaru pastuchów palących papierosy obok budynków, zwróciło stanowczo kierunek śledztwa przeciw p. Antschlowi.

Przysięgli potwierdzili 8 głosami pytanie dotyczące zbrodni podpalenia. Trybunał skazał oskarżonego na 4 lata ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co tygodnia i ciemnicą w każdą rocznicę popełnionej zbrodni.

Lwów 27 września.

(*Ungarische Räuber*).

Znaną jest sprawa pomiędzy węgierskim dostawcą mięsa dla wojska we Lwowie p. Grünfeldem, a tutejszym rzeźnikiem p. Mokrzyckim, który miał swego kontrkonkurenta z za Karpat wraz z jego wspólnikami ochrzcić mianem „Ungarische Räuber“, za co w sekcyi III lwowskiego sądu karnego na grzywnę 4 złr. albo jednodniowy areszt skazany został.

Obie strony odwołały się przeciw wyrokowi. P. Mokrzycki twierdzi bowiem, że wspomnianych słów nie użył, że zresztą p. Grünfeld funkcye dostawy mięsa spełniał źle, p. Grünfeldowi zaś wymiar kary wydał się za niskim. Trybunał apelacyjny zatwierdził wyrok co do winy, a karę podwyższył do 20 zł. ewentualnie 2 dni aresztu. Nie roztrząsał jednak wcale kwestyi, czy p. Grünfeld porządnym jest dostawcą. Sprawa ta rozpatrywaną jeszcze będzie przez sąd wojskowy, do którego wniesie p. Mokrzycki podanie, ażeby przesłuchano wszystkich jego świadków.

KRONIKA.

Lwów 27 września.

Radzca dworu p. Seferowicz wyjechał w podróż inspekcyjną.

Mianowania. Starosta w Białej Jerzy Piwocki mianowany radzcą namiestnictwa we Lwowie. Starostowie Paweł Świtalski w Drohobyczu i Leon Kurykowski w Wieliczce otrzymali tytuł i charakter radzców namiestnictwa. Sekretarze namiestnictwa Franciszek Ksawery Sielecki, Władysław Jarosz, kierownik starostwa w Ropczycach, Franciszek Szałowski, kierownik starostwa w Lisku, Roman Szymanowski i Antoni Wybranowski, prowizoryczny kierownik starostwa w Czortkowie, mianowani starostami. Komisarze starostw: Bolesław Szczerbiński w Dąbrowie, Tadeusz Bobrzyński w Sanoku, Juliusz Zulauf w Śniatynie, Józef Brodnicki w Zbarażu i komisarz namiestnictwa Zygmunt Pietruski we Lwowie mianowani sekretarzami namiestnictwa.

Raut na cześć bawiącej we Lwowie sędziwej poetki p. Seweryny Duchińskiej, urządzony przez lwowskie Towarzystwa kobiece odbył się wczoraj Poetka przybyła o godz. 8 wieczorem, wprowadzona przez panie Poh i Gostyńską. U wejścia powitały ją przewodniczące 5 towarzystw kobiecych lwowskich z p. Marchwicką na czele. Gdy przebrzmiały dźwięki kantaty, wykonanej przez chór pań pod batutą pp. Kulińskiej i Laureckiej, zwróciła się do znakomitego gościa p. W. Niedziałkowska z przemową, w której zaznaczyła naprzód wpływ Duchińskiej na kobiety polskie, następnie zaś przedstawiła rozwój towarzystw kobiecych u nas. Poczem ofiarowano poetce piękny wieniec laurowy. Jedna z szarf nosiła napis: „Hołd i cześć od Polek“ — druga cytat z wiersza Duchińskiej: „*Kiedyż to nie wołano kobiety do żniwa?*“ Panna Sieradzka wygłosiła z wielką siłą i prawdziwem zrozumieniem wiersz Duchińskiej „Do Oleszczyńskiego,“ p. Czermakowa zaś wiersz: „Będę psem!“ Obie deklamacye wywarły silne wrażenie. Uroczystość zakończył chór odśpiewaniem pieśni patryotycznych.

Raut na cześć Duchińskiej, projektowany na jutro, zapowiada się świetnie, zarówno ze względu na przyrzeczoną bytność sędziwej poetki, jakoteż z powodu niezwykle urozmaiconego programu produkcyi muzyczno-wokalnych, które rozpoczną się z uderzeniem godziny 8 wieczorem.

50letni jubileusz kapłański, a zarazem złote wesele obchodził dnia 21 b. m. ks. kan. Stefan Dobrzański, gr kat. proboszcz w Rogoźnie. Ks. biskup Pełesz z okazyi tego jubileuszu mianował jubilata radzcą konsystoryalnym.

Poświęcenie nowozbudowanego kościółka w Horodnicy, w pow. husiatyńskim, odbyło się dnia 22 b. m.

Stypendya cieszyńskie. Wydział „Echa“ wysłał wczoraj na ręce ks Świeżego 105 zł. 50 ct. jako czysty dochód z wieczorku urządzonego d. 22 b. m. na stypendyum dla jednego ucznia gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Nowa poczta. Z dniem 1 października wejdzie w życie nowy urząd pocztowy w Sławsku na dworcu kolejowym dla gmin Sławsko, Chaszczowanie, Jelenkowate, Różanka wyżna, Różanka niżna i Wołosianka.

Wieczornicę amatorską urządza stowarzyszenie „Skała“ jutro o godz. 8 wieczorem.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Nisku rozpisała z terminem do 15 października b. r. konkurs na posadę rz.-kat. katechety w 5-klasowej szkole mięszanej w Nisku oraz na kilkanaście posad nauczycielskich.

Zmiana własności. Dobra Karniowice z przyległościami, należące do hr. Sobiesława Mieroszowskiego, nabył dr. Stefan Skrzyński w Krakowie.

Wiadomości dyecezyalne. Rz.-kat. archidyecezya lwowska: Kanoniczną instytucyę na probostwo w Fürstenthalu na Bukowinie otrzymał dotychczasowy tamtejszy administrator ks. Marcin Cichocki. Aplikowani w charakterze kooperatorów: O. Otton Żugaj ze Zgromadzenia OO. Bernardynów w kościele parafialnym św. Andrzeja we Lwowie, O. Paschalis Borkowski ze Zgromadz. OO. Reformatów w kościele parafialnym w Rawie Ruskiej i O. Mateusz Cholewa ze Zgrom. Karmelitów w kościele parafialnym w Bołszowcu. Jurysdykcyę otrzymali: O. Zygmunt Tomczykowski, gwardyan Konwentu OO. Franciszkanów we Lwowie i O. Szymon Guzik, przeniesiony do Konwentu OO. Karmelitów we Lwowie. Konkurs ogłoszony na probostwo w Zastawnie z terminem do końca października br.

Dyecezya tarnowska: Odznaczeni R. i M: ks. Stanisław Mizerski, proboszcz w Borowej i ks. Wilhelm Skopiński, proboszcz w Padwi. Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz, spirytualny Seminaryum duchownego, wstąpił do Zgromadzenia OO. Redemptorystów. Zamianowany spirytualnym seminaryum duchownego ks. Adam Warzewski, dotychczasowy wikaryusz przy kościele katedralnym w Tarnowie. W rekolekcyach kapłańskich w Tarnowie, odbytych od 16 do 20 września pod kierownictwem ks. Jedka, wzięło udział, prócz miejscowego duchowieństwa, z dyecezyi 62 kapłanów.

„Biuro dobroczynności“ br. Hirsza dla Galicyi, które istniało od r. 1888 i otrzymywało subwencyi po 144.000 zł. rocznie, zostało rozwiązane.

Egzamina oficerskie przy artyleryi zdali następujący jednoroczniacy: Chyżewski (z odznaczeniem), Chrzanowski, Dąbrowski, Grillitsch, Götter, Kwiatkowski, Łyszkowski, Łukacz, Mayer, Moraczewski, Mataszowski, Neubeck, Stefko, Sołtys, Schestauber, Śmiałowski, Ściborowski, Szczepański Antoni, Schayer, Teodorowicz, Witoszyński Roman, Witoszyński Julian, Zieleniewski, Zotta Aleksander, Zotta Oktaw.

Dziś o godzinie 7 wieczorem, w sali konserwatoryum muzycznego, przedostatnia próba z oratoryum Duchińskiej-Sołtysa „Śluby królewskie“. Wczorajszej próbie przysłuchiwało się liczne grono muzyków naszych z Mikulim na czele, który młodemu kompozytorowi, a swemu byłemu uczniowi, nie szczędził gorących pochwał.

Zamach samobójczy dziecka. Z Wiednia donoszą, że dwunastoletnia dziewczyna Blunzerówna położyła się wczoraj na szynach kolejowych kolei naddunajskiej w zamiarze samobójczym. Strażnicy kolejowi atoli ujrzeli wcześnie dziecko leżące na szynach, usunęli je z nich i odprowadzili do komisaryatu policyi, gdzie Blunzerówna zeznała, iż w domu rodzice bili ją niemiłosiernie i że ona dlatego pragnęła odebrać sobie życie.

Ucisk religijny. *Graždanin* w jednym z ostatnich numerów zamieszcza następujący artykuł.

Z zupełnie wiarogodnych źródeł podają nam następujące dwa fakta z zachodnich gubernij: Pewien wysoki rosyjski urzędnik znalazł w szpitalu powiatowego miasteczka jednej z zachodnich gubernij obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a uważając ten obraz za katolicki, z wielkiem oburzeniem kazał go usunąć, a władzom miejscowym udzielił surowej nagany. W innem gubernialnem mieście „zachodniego kraju“ pewien sędzia pokoju Rosyanin spotkał się z zarzutem „niebłagonadiożności“, ponieważ znaleziono u niego katolicki krucyfiks. Zarządzono śledztwo i wezwano znawców, którzy mieli orzec, czy krucyfiks jest rzeczywiście katolicki, czy Zbawiciel na tym krzyżu należy do katolickiego czy prawosławnego wyznania.

Te doniesienia opatruje *Graždanin* następującym komentarzem: Jak długo podobne zjawiska są możliwe w zachodnim kraju, nie może być mowy o zlaniu się tego kraju z Rosyą, ani o jego uspokojeniu. Zjawiska te świadzą, że przedstawiciele władzy państwowej nie dążą wcale do uspokojenia kraju, ale prowadzą tam w imieniu przesądów walkę dla wzbudzenia religijnych niesnasek i zadowolnienia swego fanatyzmu!...

Psy-gladyatorowie. Europa w ostatnich latach przyswoiła sobie jedną z barbarzyńskich zabawek Ameryki — walkę psów. Sport ten kwitnie szczególnie na północy Francyi, na pograniczu belgijskiem, gdzie co niedziela w Roubaix, Halluin, Mouscron, Mont à Leux odbywają się igrzyska, daleko okrutniejsze niż walki byków.

Najczęściej walki urządzane są na podwórzach szynkowni, w miejscu ogrodzonem, mało dla oka policyi dostępnem. W środku podwórza, wyłożonego czerwoną cegłą, znajduje się arena, czworokąt o pięciu metrach kwadratowych, otoczony ławkami. W jednym rogu podwórza stoi szopa, gdzie mieści się biuro zapisów i waga. Dwaj parobcy flamandzcy w czapkach pilnują porządku. Powoli napływają widzowie: jedni dla zabicia czasu patrzą bezmyślnie w błękit nieba, paląc długie fajki i popijając piwo z dzbanów, inni rozprawiają o zaletach przyszłych szermierzy psiego rodu, inni znów zabawiają się grą w kręgle.

Godzina się zbliża. Zjawiają się na placu organizatorowie zapasów, handlarze miejscy, właściciele psów, rzeźnicy, rzemieślnicy. Rozpoczyna się zapisywanie psów i ich ważenie, gdyż waga ma wielkie znaczenie w tego rodzaju walce. Po ukończeniu tych czynności widzowie rozstępują się i otwierają przejście dwom szermierzom, prowadzonym przez właścicieli na smyczy.

Oto para pierwsza: dog ogromny, z obrożą na szyi z gałek ołowianych i buldok, niski, szeroki, z zębami wyszczerzonymi. Jeden z sędziów objaśnia, iż walka będzie ze wszech miar interesująca, wchodzi tu bowiem w grę „honor“ narodowy. Dog jest pochodzenia belgijskiego, buldog—francuskiego To też zakłady rosną z każdą chwilą. Właściciele psów zaledwie utrzymać mogą współzawodników, rwących się ku sobie z warczeniem. Na dany znak, puszczone ze smyczy, rzucają się na siebie jak strzały, ze ślepiami roziskrzonemi, z głuchem warczeniem w głębi gardzieli. Rozpoczynają się zapasy. Zwierzęta zatrzymują się na sekundę, każde stara się zajść przeciwnika z tyłu. Po chwili, gdy usiłowania uchwycenia zębami przeciwnika w okolicach ogona okazują się udaremnionemi przez takież usiłowania drugiej strony walczącej, zwierzęta ze wściekłością rzucają się na siebie. Walka trwa dopóty, dopóki jeden z psów nie zdoła *coiffer* (chwycić za kark) lub *sous-coiffer* (chwycić za gardziel) drugiego. Pochwycony w ten sposób uważa się za zwyciężonego, właściciele rzucają się i rozbrajają walczących, co nie jest bynajmniej łatwem. W ten sposób lepsze siły zachowywane bywają dla przyszłych zapasów. Zdarza się niekiedy, że jedno ze zwierząt zagryzie drugie na śmierć, nim ich panom uda się rozedrzeć te dwa cielska zajadłe i rozwścieklone. W Anglii i Ameryce nie wolno psów rozbrajać, walka musi być doprowadzona do śmiertelnego rezultatu.

Ale i na pograniczu belgijskiem psy nie wychodzą cało z utarczki. Krew leje się potokiem. Niekiedy zwycięzca odchodzi do szopy z kawałkiem cielska swego współzawodnika w pysku. Doprowadzony do szału, gryzie ów kawał ścierwa, a w zapamiętaniu pożera go zazwyczaj. W walkach tego rodzaju psy okazują zawziętość zdumiewającą. Opowiadają, iż pewien rzeźnik z Mouscron założył się, iż jego buldog nawet po obcięciu wszystkich czterech łap wlec się będzie do boju i — wygrał zakład, pies zaś w pierwszem spotkaniu zdechł pod kłami przeciwnika.

Walki psów trwają od południa nieraz do późnej nocy. Nagrody wynoszą od 25 do 100 franków.

W ten sposób pies, którego nauczono już kręcić rożen, chodzić na dwóch łapach, jeździć na grzbietach końskich i grywać teatr z małpami, odgrywa niekiedy rolę gladyatora.

Żydzi polscy w Argentynie. Gazeta *La Pressa*, wychodząca w Buenos Ayres, zamieszcza wyjątki z raportu komisarza głównego dla spraw emigracyjnych, złożonego argentyńskiemu ministrowi spraw wewnętrznych. Według raportu w ostatniem półroczu przybyło do Argentyny 860 żydów z Litwy, Królestwa Polskiego i Galicyi, którzy razem z poprzednio przybyłymi stanowią cyfrę 8378. Zamieszkują oni w prowincyach Entre Rios i Buenos Ayres. Przy pomocy Association Israelite de Colonisation, nabyli żydzi 176.644 hektarów. Ponieważ osiadają oni w jednem miejscu i nie mieszają się z resztą ludności, przeto komisarz, widząc w tem niebezpieczeństwo dla jedności państwowej, prosi ministra, ażeby w drodze prawodawczej powstrzymał imigracyę i skupienie na jednem miejscu żywiołów zagrażających „konstytucyi kraju“.

Olbrzymi wybuch ropy nastąpił przed czterema dniami w Ropicy ruskiej koło Gorlic na terenie p. Władysława Dembowskiego, który poszukiwał tam źródeł naftowych wraz ze spółką „Męciński, Płocki, Sroczyński, Suszycki“. Roboty akordowe prowadzili inżynierowie górniczy pp. Tomasz Paszcz i Leon Mikucki. Dnia 24 bm. w głębokości 190 m nastąpił wybuch ropy tak gwałtowny, że nie było sposobu opanować go; to też setki baryłek ropy poszły do sąsiedniej rzeki Sękówki. Po kilkogodzinnej uciążliwej pracy — zwłaszcza, że odbywała się ona w zupełnej ciemności, bo wybuch nastąpił już wieczorem, a światła z obawy eksplozyi bardzo silnych gazów użyć nie było można — zdołano nareszcie szyb zamknąć i ropę do rezerwoarów skierować. W ten sposób przez pierwszych dwadzieścia godzin zebrano około 800 baryłek. Szyb ten nazwano mianem „Waryat nr. 2“, a to dla podobieństwa z szybem „Waryat nr. 1“ w Potoku, jednym z najobfitszych szybów w Galicyi. Wypadek ten jest nietylko szczęśliwym dla akcyonaryuszy spółki, ale dla całego powiatu gorlickiego. Liczni bowiem nafciarze, zwabieni tak świetnymi rezultatami, nie omieszkają rozchwytać obiecujących terenów naftowych i niebawem zapewne kilkanaście rygów będzie już w ruchu, dając sowity zarobek robotnikom i ożywiając przemysł i handel miejscowy.

Zmarli. Ks. Wacław Nowacki, kapłan zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, umarł w Krakowie w 30 roku życia. — Kazimierz Szydłowski, b. sekretarz tarnopolskiej rady powiatowej, umarł we Lwowie, przeżywszy 32 lat. — Wawrzyniec Zaremba, jenerał major, umarł w Znaimie na Morawach.

Stan powietrza. T. o 9 rano +8° R., w poł. + 16° R. Bar. 776. Nieruchomy. Prześliczna pogoda.

Wyborny sposób.

— Czy lubisz ostrygi?
— Pasyami.
— Jeżeli chcesz, dam ci sposób, że możesz codzień raczyć się temi skorupiakami.
— Jakiż to sposób?
— Proś mnie codzień na ostrygi.

Teatr. Dziś w piątek „Dwa herby“, komedya w 4 aktach Blumenthala i Kadelburga. W sobotę „Żydzi“, komedya w 4 aktach J. Korzeniowskiego. Utwór ten grany był na lwowskiej scenie po raz pierwszy w dniu 8 grudnia 1843, a ówczesna krytyka przyjęła go z nadzwyczajnym entuzyazmem. Odtąd „Żydzi“ trzymają się zawsze dzielnie na wszystkich polskich scenach i zawsze teatr przepełniają. W jutrzejszem wznowieniu tej zajmującej komedyi główne role odegrają pp. Stachowicz, Gostyńska, Cichocka, Żelazowski, Fiszer, Hierowski, Ruszkowski, Woleński, Gasiński, Chmieliński, Feldman. W poniedziałek po raz pierwszy wodewil „Pan Bigelhofer“. Pani Bednarzewska wystąpi po raz pierwszy w „Ślubach panieńskich“ we czwartek.

Literatura i Sztuka.

* **Wędrowiec,** tygodnik ilustrowany wychodzący w Warszawie, otwiera z dniem 1 października b. r. we Lwowie w hotelu Europejskim swą filię redakcyjną i administracyjną.

SPORT.

Wyścigi konne w Rymanowie. Dnia 21 b. m. w pierwszym dniu wyścigów do pierwszego biegu z płotami stanęli: por. p. W. Kundl na „Broisz“, p. S. Ostaszewski na „Jamce“ i por. Rheina Wolbeck na „Licie“. Przy pierwszej przeszkodzie „Broisz“ odmówił skoku i upadł z jeźdźcem, a na nim przewróciła się także „Jamka“ z p. Ostaszewskim który jednak dosiadł konia powtórnie i ostatecznie wziął pierwszą nagrodę 700 koron, „Lita“ bowiem odmówiła również brania przeszkód i zdobyła drugą nagrodę 200 koron.

Do biegu drugiego stanęli por. J. Jędrzejowicz na „Urgens“, por. Koller na „Giles“ i por. p. S. Osiciński na „Ona“. „Urgens“ wziął z łatwością pierwszą, a „Ona“ drugą nagrodę.

Do gonitwy myśliwskiej o nagrodę honorową zgłosiło się 6 panów. Maestrem był p Ostaszewski, pierwszą nagrodę wziął p. Koller na „Harryhall“, nagrodę drugą p. J. hr. Potocki na „Kaśce“.

Bieg czwarty kłusowy nie przyszedł do skutku z powodu burzy.

W drugim dniu wyścigów do biegu o nagrodę pań stanęli: p. Ostaszewski na „La Marquise“, J hr. Potocki na „Floridorze“, porucznik Wolbeck na „Licie“ i p. Hölzl na „Jongleur“. „La Marquise“ zdobyła pierwszą nagrodę.

Do biegu dwulatek o nagrodę 500 koron zgłosiło stado im. Ostaszewski klacz „Not-for-sale“ i ogiera „Znicz“. „Not-for-sale“ pod p. Kollerem wzięła pierwszą nagrodę.

Do biegu rymanowskiego zgłosił się tylko por. ks. Windischgraetz na „Letare“.

W biegu z przeszkodami wzięli udział p. J. Cielecki na „Satanowskiej“, p. Jędrzejowicz na „Urgensie“, W. Kundl na „Broiszu“ i p. Koller na „Giles“. Nagrodę pierwszą 700 koron wziął „Broisz“.

Drugi dzień wyścigów zakończył bieg kłusowy wózkami na przestrzeni 30 klm., w którym wzięły udział 4 zaprzęgi a nagrodę pierwszą wziął p. F. Kozłowski, przebywszy 30 kl. w 72 minutach.

Po wyścigach odbyło się corso do zakładu rymanowskiego. O godzinie zaś 10 wieczorem rozpoczął się w sali dworca rymanowskiego bal, na którym tańczono aż do białego rana.

* * *

Wyścigi konne w Krakowie.

(Zjazd jesienny).

Sekretaryat Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów w Krakowie zawiadamia nas, że wyścigi jesienne świetnie się zapowiadają. Mianowania do wszystkich biegów są już zamknięte i wypadły nadspodziewanie dobrze i tak mianowano na 1. dzień wyścigów do 1 „Biegu otwarcia“ 19 koni, 2 „Biegu sprzedażnego“ 16 koni, 3 „Steeple-chase“ koni wierzchowych 15 koni, 4 biegu o nagrodę Dam 21 koni, 5 biegu o Nagrodę Rządową 9 koni, 6 biegu Oficerskiego Steeple-chase 10 koni, na drugi dzień wyścigów do 1 biegu o Nagrodę Austryackiego Jockey-Klubu 26 koni, 2 Biegu sprzedażnego 12 koni, 3 biegu o Nagrodę Zamku Łańcuckiego 24 koni, 4 biegu o Nagrodę Rządową 10 koni, 5 Biegu sprzedażnego 19 koni, 6 biegu o Nagrodę Galic. Klubu Jazdy Panów 9 koni. Również do biegu włościańskiego zapisano już kilkanaście koni. Zjazd obcych spodziewany jest bardzo znaczny.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 25 września.

(Z.) Dziś rozeszła się na giełdzie pogłoska, że bank austro-węgierski wyczerpał już całą swą rezerwę nieopodatkowanych banknotów i że w obiegu znajdują się już opodatkowane noty. Zatrwożeni tem spekulanci skwapliwiej rzucili się do sprzedaży, gdyż w takim razie pieniądze stałyby się jeszcze droższe, a stopa procentowa mogłaby od razu podskoczyć do 10 prct. (gdyż sam podatek wynosi 5 prct). W dalszym toku jednak nastało pewne uspokojenie. Pokazało się bowiem, że owa pogłoska była przesadną. Rezerwa banku jest wprawdzie na wyczerpaniu, ale opodatkowanych not jeszcze nie ma w obiegu. Pewną pociechą dla naszych spekulantów jest, że i berlińscy ich koledzy mają takie same kłopoty. W Berlinie eskont na targu dochodził dziś do 6 prct., jednakże mimo takiej drożyzny pieniędzy tendencya giełdy berlińskiej była silna.

Paryska giełda była wybornie usposobiona, a w walorach górniczych panowała tam znaczna haussa. Z Paryża też wyszedł impuls do korzystnego zwrotu jaki nastał przed zamknięciem giełdy, dzięki czemu kursa powetowały znaczną część porannej zniżki.

Mała Czarnogóra zaciąga kilkumilionową pożyczkę w Rosyi.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 401·75, węgierskie 486·25, Anglobanki 177·50, Uniony 351·75, Bankvereiny 169·70, Länderbanki 283·—, Ludwiki 222·—, Czerniowieckie 322·50, Elbethale 281·50, Renta papierowa 100·55, srebrna 100·95, austryacka złota 121·80, 4% austr. renta wal. kor. 100·95, węgierska złota 121·25, 4% węgierska renta wal. kor. 99·35, dukat 5·70—, 20-frankówka 9·54, marki 11·75, ruble 1·29¼.

Wiedeń 26 września. Spirytus 15·50—15·60.

§ **Do jeneralnej taryfy towarowej** austr. kolei państwowych wyszedł dodatek IX i obowiązywać będzie począwszy od 1 października 1895.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 27 września. Wczorajsze wybory do rady miejskiej z pierwszego koła wyborczego, najwyżej opodatkowanych, odbyły się zupełnie spokojnie. Liberałowie i w tem kole ponieśli dotkliwą porażkę, gdyż stracili siedm mandatów. Antysemici, którzy w dawnej radzie mieli sześć mandatów z pierwszego koła, wczoraj zdobyli ich 13. Liberałów wybrano 32, a w dzielnicy Neubau przyjdzie do ściślejszego wyboru między liberałem Frauenbergerem a antysemitą Lehoferem. Ogółem rozporządzają dotychczas antysemici 91 głosami a liberałowie 46. Liberałowie stracili dzielnice Favoriten, Simmering, Meidling, Hietzing, Rudolfsheim. Dzielnica Fünfhaus, na którą liczyli antysemici, wybrała liberała.

Abrudbanya 27 września. Wielki odłam skały oberwał się w głównym szybie tutejszych kopalń i zabił dwóch górników.

Banffy Hunyad 27 września. Wczoraj w południe, gdy skończyły się manewry, zgromadził Cesarz dokoła siebie wszystkich jenerałów i wyraził im swoje najwyższe zadowolenie zarówno z przeprowadzenia obustronnej dyspozycyi, jak i z dzielności okazanej przez wojska, biorące udział w manewrach.

Najbardziej chwalił Cesarz artyleryę, która manewrowała w terenie nadzwyczaj trudnym, i piechotę, która odbywszy forsowny marsz trzydziesto-kilometrowy, bez wypoczynku rozpoczęła bitwę. Cesarz dziękował komendantom za ich gorliwość i osiągnięte sukcesy, a szefowi jeneralnego sztabu Beckowi wyraził najwyższe uznanie za kierownictwo manewrów.

Wieczorem odjechał Cesarz z powrotem do Wiednia.

Czernawoda (w Rumunii) 27 września. W obecności króla, królowej, następcy tronu i jego żony, ministrów, jeneralicyi, ciała dyplomatycznego i około 400 zaproszonych gości, odbyło się wczoraj uroczyste otwarcie mostu na Dunaju między Feteszti a Czernawodą. Uroczystości tej przypatrywały się tłumy ludności, przybyłe ze wszystkich stron kraju. Na bankiecie, który odbył się po uroczystem otwarciu mostu, miał minister robót publicznych mowę, w której sławił zasługi króla Karola około ekonomicznego rozwoju Rumunii. — Następnie miał król przemowę, która wywołała wielki entuzyazm między zebranymi.

Wiedeń 27 września. Cesarz powrócił tu dziś o 6 rano.

Budapester Corresp. donosi, że Cesarz wystosował bardzo łaskawe odręczne pisma do ministrów Krieghammera, Welsersheimba i Fejervary'ego, w których wyraża najwyższe zadowolnienie z powodu znakomitego wykształcenia wojsk, zaś w pismach odręcznych do Banffy'ego i Kielmansegga poleca wyrazić podziękowanie ludności tych okolic, w których odbywały się manewry, za zgotowane Mu wspaniałe przyjęcie.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 26 września. A. hr. Wallhein z Gracu. M. hr. Witemberg z Gracu N. br. Wiesenbach z Wiednia. M. Pollak z Wiednia. K. Łukasiewicz z Bukowiny. W. Sokołowski z Drohobycza. O. br. Wirth z Halli. J. Bertog z Halli. H. Karczewski z Krosna. H. Karczewska z Rosyi. L. Suszycki z Paryża. A. P. Ahsbahs z Węgier.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 26 września. Hr. St. Tarnowski z Turczyńca (w Rosyi). C. Cieńska ze Stanisławowa. J. Filipowski z Kocowa. K. Pochwalski z Wiednia. J. Zieniewicz z Daszawy. M. Jasieńska z Gerczowa

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 26 września. St. ks. Lubomirski z Równego. M. br. Błażowski z Nowosiółki. J. Beyzym z Wołynia. St. Sobieszczański z Polski F. Brodik z Wełdzirza. K. Drahanowski z Kamionki Strumiłowej. K. hr. Dzieduszycki z Siechowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 27 września (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę. Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·50 do 223·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 321.— do 325·—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 438.— do —.— Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem 110·— do 110·70, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100·50 101·20. Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·10 do 98·80 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. os. w 41 i pół latach 98·20 do 98.90, 4 proc. los. w 56 lat. 98·— do 98·70.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·60 do 98·30 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·— —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.30 do 98·—, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·50 do 98.20.

Monety. Dukat cesarski 5·64 do 5.74, Napoleondor 9.50 do 9.60, Półimperyał 9.75 do —.—, Rubel rosyjski papierowy 1.30 do 1.31, 100 marek niemieckich 58.75 do 59·25.

Wiedeń 26 września. Notowania wieczorne. Kredyty 405·00, węgierskie kredyty 488·25, anglobank 178.50, bankverein 171·50, unionbank 353·00, länderbank 286·75, staatsbahny 396.50, lombardy 112.50, elbethale 284.50, akcye tytoniowe 238.25, rima 289.50, alpiny 102.70, renta majowa 100.55, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 78.00, węg. renta koronowa 99.70, marki 58.92, ruble 129.—.

Wiedeń 27 września (godz. 11 w południe. Kredyty 404.62, kred. węg. —.—, Anglobanki 178.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 286.—, Akcye tytoń. 239·25, Staatsbahny 395.65, Lomb. (z kup.) 112.37, Elbethale —·—, Renta pap —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 58.90 Losy tureckie —.—.

8)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartingowej).

(Ciąg dalszy).

IV.

Zostawmy hrabinę d'Evremond na drodze do miasta, a wróćmy do Santa Capelli, który rozstawszy się ze swoją spólniczką na gościńcu, jednym skokiem rzucił się w zarośla i znikł jej z oczu.

— Te kobiety, słowo daję, tracą chwilami zupełnie głowę! — mruknął sam do siebie, zatrzymawszy się w celu nabrania oddechu. — Żeby nie ja, la Catarina popełniłaby kapitalne głupstwo, które mogło nas było drogo kosztować.

Milczał chwilę, potem potrząsnął głową.

— Ona od jakiegoś czasu zmieniła się bardzo... Dawniej miała tyle zimnej krwi, tak umiała panować nad sobą... a dziś stała się nerwową, porywczą... unosi się o byle co. Muszę ja wybadać, co nurtuje tę mózgownicę.

Chwilę stał markotny, następnie rozejrzał się dokoła.

— Zdaje się, że przyszedłem tędy... Bylem nie zabłądził...

Stał wahający się, wiodąc okiem po nieprzebitym gąszczu splątanych lian, karłowatych krzewów i pnących dzikich roślin, pełzających aż pod niebotyczne sklepienie drzew, gdy naraz zaśmiał się z cicha.

— Jaki ja głupi! — pomyślał.

Przyłożył do ust ręce złożone w kształcie konchy i zadął w nie silnie.

Odpowiedziało mu żałosne jakieś skowyczenie, które zbudziło stłumione echa w głębi milczącego lasu.

Zaledwie to ustało, ozwało się rżenie końskie w pobliżu.

— Baccho jest tu — pomyślał zadowolniony. — Ruszajmy.

I począł brnąć odważnie w gąszczu zieleni, odgarniając rośliny, przeskakując liany, gnąc kolczate krzewy, prześlizgując się wężowym ruchem wśród żywej sieci pogmatwanych łodyg i gałęzi, które zawierały się za nim tak szczelnie, jak gdyby nigdy żywa istota tędy nie przychodziła.

Chwilami zatrzymywał się, aby zaczerpnąć powietrza i przesunąć chustkę po czole zroszonem perlistym potem i znów ruszał dalej ze zdwojoną energią, mimo lian, które go dławiły za szyję, mimo gałęzi, które chłostały mu twarz, i cierni kaleczących dłonie. Nareszcie, przebiwszy się odważnie przez gęsty mur zieleni, wydostał się na polankę, z której rozbiegały się aż cztery drogi w przeciwnych kierunkach.

— Nakoniec! — westchnął uradowany.

Szybkim krokiem przebiegł niewielką płaszyznę i zapuścił się w zarośla, gdzie zastał swojego konia uwiązanego do pnia drzewa którego korę pogryzł z niecierpliwości.

— Cóż, mój stary Baccho — rzekł pieszczotliwie, gładząc go po grzywie — znudziło ci się widocznie czekać tak długo?

Wskoczył na siodło i wrócił na polankę. Chwilę stanął, wahający, z nogami w strzemionach, pochylony naprzód, wsłuchując się bacznie w głuchy odgłos, zalatujący z puszczy.

— Powóz jedzie w stronę miasta — mruknął. — To znaczy, że d'Etrillac żyje jeszcze.

I okrutne przekleństwo zawrzało na jego ustach. Jednocześnie jednak prawie uspokoił się.

— Na szczęście, la Catarina jest sprytna. Jeżeli spełni dokładnie moje zlecenia, d'Etrillac nie zostanie nigdy mężem Maryi Smither. A teraz nie traćmy czasu!

Ściągnął cugle w ręku i ostrogami dotknął konia, który potężnym skokiem rzucił się naprzód i pomknął, jak strzała, wzdłuż jednej z dróg równoległych do tej, którą obrała pani d'Evremond.

Pochylony nad rozwianą grzywą końską, Santa Capella pędził, jak wicher, nie myśląc o niczem, czując tylko rozkoszny chłód nocy, który rzeźwił mu rozpalone gorączką czoło. W szybkości ruchu zdawał się zapominać na chwilę o przygodach awanturniczego swojego żywota.

Naraz drgnął wyrwany z zadumy i targnął za lejce wierzchowca, który kopytami wrył się w ziemię.

— Mississipi! — szepnął.

I pochylony na siodle, słuchał głuchego, łoskotu toczącej się opodal wielkiej fali wodnej.

Ostrożnie postąpił parę kroków naprzód wstrzymując Baccha, który spłoszony niezwykłym hałasem, nastawiał cienkich uszu i drżał z niecierpliwości.

— Spokojnie, stary, spokojnie! — upominał go pan, usiłując wzrokiem przebić otaczające go ciemności.

Zboczyli z gościńca, kierując się boczną drożyną, wijącą się wśród bujnych, wysokich traw i tataraków, a zmierzającą do gęstwiny drzew, których czarna masa była widoczna z daleka.

Nagle świst rzemienia rozległ się w powietrzu i Santa Capella, brutalnie wysadzony z siodła, runął, jak długi, na ziemię.

Odurzony upadkiem, leżał chwilę nieruchomy, a gdy, opamiętawszy się, próbował się podnieść, uczuł dławiący go dokoła szyi ostry rzemyk, który wpijał mu się w ciało.

— *Sangue di Christo!* — wybełkotał rozwścieczony. — Cóż mi się stało?!

Obrócił głowę nieco w bok i ujrzał opartą o drzewo jakąś nieruchomą postać, z dłonią spoczywającą niedbale na lufie karabina.

— Co za jeden? — zawołał Santa Capella, siląc się na wydobycie głosu z zaciśniętego gardła — i jakiem prawem napastujesz mnie?

Wymówił te słowa po angielsku, sądząc, że ma do czynienia z jakimś opryszkiem miejscowym. Zdziwił się też niepomiernie, gdy zapytany odpowiedział mu po francusku:

— To mnie, a nie tobie przystoi badać, kiedy cię mam w swojej mocy i trzymam silnie, jak widzisz.

To mówiąc, nieznajomy lekko dotknął rzemienia, a Santa Capella, który się podniósł na łokciu, upadł twarzą na ziemię.

Śmiech szyderczy rozległ się w powietrzu. Widocznie oprawca lubował się w grze swojej. Santa Capella, doprowadzony do wściekłości, próbował nadmiernym wysiłkiem podnieść się na nogi i byłby może tego dokonał, gdyby przeciwnik, widząc te wysiłki, nie zagroził mu z zimną krwią:

— Jeszcze jedno poruszenie, a strzelę ci w łeb, jak psu.

Jednocześnie margrabia ujrzał lufę karabinu, skierowaną ku sobie.

— Lecz niechże wiem przecie, kto jesteś? — spytał tym razem po francusku

— To cię nic nie obchodzi.

— Więc czego chcesz? — poprawił się, wywiedziony z ostatecznych granic cierpliwości.

I z trudnością hamując gniew, dodał:

— Bo jeżeli ci chodzi o moją sakiewkę, to cię uprzedzam, że spotka cię wielkie rozczarowanie.

Tamten się roześmiał.

— Chcę przedewszystkiem wiedzieć, co cię tu sprowadza? — spytał.

— A jakiem prawem pytasz?

— Prawem mocniejszego.

I znowu trącił lassem, aby mu dać uczuć swoją przewagę, a margrabia zawahał się chwilę, czy odpowiadać, czy też zachować milczenie.

Obawiając się jednak drażnić wroga, odparł:

— Nie mogę mówić głośno. Jeżeli więc chcesz słuchać, to się przybliż...

A widząc, że się waha, dodał:

— Czegoż się możesz obawiać? Jesteś uzbrojony, a ja nie. Nie licząc już tego piekielnego rzemyka, którego gdybyś pofolgował trochę..

— To uciekłbyś, albo się rzucił na mnie...

Mówiąc to, nieznajomy przytwierdzał silnie do pnia drzewa koniec rzemiennego sznura, okręcony dotąd koło jego ręki, i z karabinem w dłoni zbliżył się do Santa Capelli.

Ten nie spuszczał oczu ze swojego wroga, a w miarę, jak postać jego wynurzała się z ciemności, zaciekawienie markiza zmieniało się w wątpliwość, która w końcu przeszła w niepomierne zdumienie.

Postać ta była kobiecą.

Ubrana w bluzę z szarej tkaniny bawełnianej, opadającą powyżej kolan, nogi miała obute w skórzane „espadrille", przytwierdzone do takichże kamaszy za pomocą stalowych sprzączek. Na głowie miała sukienny kaszkiet, po kawalersku ozdobiony czaplem piórem. Za szarfą, przepasaną dokoła kibici, nosiła zatknięty długi nóż.

Trudno było w mroku rozpoznać wiek tej zagadkowej istoty, zwłaszcza, że daszek kaszkietu zasłaniał część jej twarzy. Sądząc jednak z głosu o świeżem i metalowem brzmieniu, Santa Capella wniósł, że musiała być młodą. Postawę przytem miała smukłą i wiotką, a chód lekki i zgrabny

— No i kiedyż przestaniesz zdejmować mój rysopis? — zagadnęła po chwili.

Przebiegły Włoch odpowiedział komplementem.

— Podziwiałem — rzekł krótko.

Ona się roześmiała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.